TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

# ODGŁOSY

ROK XX NR 13 (1007)
27 MARCA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

## TEATR

ANDRZEJ CZERNY

# W STRYKOWIE

### Łódź, godzina 14,00

Niedzielne, słoneczne popołudnie. Wiosna. Dzień popularnych imienin. Ludzie siedzą przy świątecznie zastawionych stołach. Z otwartych okien muzyka, śmiech i strzępy rozmów. Na ulicy Kopernika przed posesją numer 8 nowy autokar wchłania kilkunastoosobową grupę oderwanych nagle od rodzinnych i przyjacielskich spotkań ludzi. Dzisiaj, w niedzielę 13 marca 1977 r. zespół Teatru Ziemi Łódzkiej wiezie „Indyka" do Strykowa. Aktorzy są spokojni. Nie psioczą na swój los. Sami go sobie wybrali i wiedzą, że wypełniają zwyczajny obowiązek. A może właśnie nie taki znów zwyczajny?

W autokarze zajmują stałe miejsca, do których od lat już przywykli. Rozmawiają o sporcie, programie telewizyjnym, pogodzie i ogródkach działkowych. Jak wszyscy. Wyczuwa się jednak nurt drugi, dla niewprawnego obserwatora niezauważalny — niepokój przed spotkaniem z publicznością nieznaną, trudną, wymagającą i nie zawsze gotową na przyjęcie każdej propozycji. Dzisiejszy wyjazd jest niedaleki, ale w nocy wrócili z odległego, leżącego na ziemi kieleckiej Stąporkowa.

Przy tej okazji roztrząsany jest problem tak zwanego rozwożenia. Do niedawna jeszcze obowiązywał zwyczaj, przy powrotach z terenu po godz. 23.00, odwożenia członków zespołu do domu. Przed kilkoma miesiącami ta uświęcona wieloletnią tradycją zasada została zlikwidowana i wszyscy, na równych prawach wysadzani są w centrum miasta, radząc sobie dalej na własną rękę. Garderobiana, pani Krystyna, która zebrała przed chwilą od całego zespołu naprawdę najserdeczniejsze życzenia imieninowe żali się, gdy mowa o rozwożeniu:

**— Czasami to się wraca o pierwszej, drugiej w nocy. Ja mieszkam bardzo daleko, jestem zmęczona i boję się sama w nocy wracać. Niekiedy jak jest pusto na ulicy i słyszę kroki za sobą to biegnę. Pijani wracają z nocnych lokali, chuligani... A czy to człowiek wie, kogo napotka na ciemnej ulicy?"**

Wyjeżdżamy na szosę warszawską.

Dalszy ciąg na str. 6

## KULTURA

ZBIGNIEW S. NOWAK

# AWANS

**SIERADZ jest najmniejszym w kraju miastem wojewódzkim, liczy bowiem ledwie około 24 tys. mieszkańców. Po reorganizacji administracyjnej dawne powiatowe miasteczko uzyskało rangę lokalnej „metropolii" o wysokim statusie, przynajmniej formalnym.**

Reforma administracyjna wielu miastom i miasteczkom dała szanse poprawy warunków życia środowiska pod każdym względem. Bo to i znacznie większe fundusze, rozleglejsze koneksje, inne zupełnie możliwości instytucjonalno-organizacyjne. Przełamane zostały liczne przedtem i dokuczliwe bariery administracyjne różnego rodzaju.

„Skok w górę" w hierarchii administracyjnej dał szanse awansu, ale przecież nie dokonuje się to „automatycznie", a wymaga wytężonej, solidnej pracy. Dotyczy to zwłaszcza sfery tzw. rzeczywistości kulturalnej, nie tylko tej instytucjonalno-organizacyjnej, lecz przede wszystkim świadomościowej. Tutaj awans wymaga wyjątkowo przemyślanych, systematycznych działań i zabiegów, szczególnie gdy ma się na uwadze zmiany dotychczasowych przyzwyczajeń, mentalności, stereotypów myślowych, systemów wartości; proces ów zaczyna się zwykle od przebudowy i rozbudowy infrastruktury instytucjonalnej, aż do stanu pewnego nasycenia środowiska określonymi placówkami i urządzeniami kulturalnymi.

**— Czego w tym względzie dokonano już i co czyni się obecnie w Sieradzu?** — pytanie to było powodem kilku moich wizyt w owym mieście i wielu rozmów z jego mieszkańcami oraz tzw. władzami kulturalnymi. Uzyskane w ich wyniku informacje nie zawsze były zgodne ze sobą, opinie nie całkiem zbieżne. Ogół głosów, uwag, poglądów złożył się jakby na szeroką, momentami zażartą dyskusję. Szkoda, że owej dyskusji w rzeczywistości nie było. Mimo to, a i dlatego właśnie postaram się ją ukazać, zaaranżować, złożyć niejako z fragmentów przeprowadzonych rozmów. Ze strony władz kulturalnych Sieradza wystąpi w niej wicedyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego — mgr **Zofia Sobczak**, od lat zajmująca się miejscowymi problemami kultury, ze strony mieszkańców — sieradzanie różnych kategorii wieku, płci, zawodowych.

### DYSKUSJA KTÓREJ NIE BYŁO

**SIERADZANIE:** — Jedyną znaczącą inwestycją kulturalną po reformie administracyjnej było powołanie w Sieradzu Biura Wystaw Artystycznych, co pozwoliło nam nawiązać bliższe kontakty z plastyką współczesną. Ożywiła się działalność naszych miejscowych plastyków, mamy tutaj tzw. „Grupę Sieradzką"...

**Z. SOBCZAK: — Faktem jest, że obecnie mamy znacznie większe możliwości organizacyjne i finansowe. Można więc robić dużo więcej niż dotychczas, podejmować różne działania na szerszą skalę. Ale też potrzeby mamy teraz większe, wymagania ludzi ciągle rosną. Nie sposób zaspokoić w pełni wszystkich od razu. Mamy też wiele problemów, szczególnie z lokalami dla różnych**

Dalszy ciąg na str. 5

## GOSPODARKA

JACEK INDELAK

# DO SZKŁA TRZEBA CZULE

— Jeśli przyjechał pan, szukać tutaj szklanek, to ich pan nie znajdzie — powiedział dyrektor naczelny Huty Szkła Gospodarczego „Radomsko", mgr Zdzisław Szaliński.

Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, a było to przed trzema laty, z taśmociągów radomszczańskiej huty spływały tysiące szklanek i szlaneczek. Prostych, żeby nie rzec: prymitywnych, trafiających przede wszystkim do gastronomii, która wymagań wielkich nie stawiała, biorąc wszystko, jak leci. Szesnaście milionów szklanek wytwarzali w ciągu roku hutnicy z Radomska. Do tego ponad cztery miliony kieliszków. Produkcja nieciekawa, jednostajna i nudna, kilka zaledwie wyrobów i to nie najwymyślniejszych.

Trzy lata to kawał czasu.

### SIEDEM PAR RĄK

Z otworów wysokiego pieca pada czerwony blask rozżarzonej masy szklanej, w której hutnicy zanurzają końce piszczeli, jak nazywają długie rurki do wydmuchu szkła. Dmą w piszczele, obracając je ostrożnie w dłoniach.

Gorąca kropla szklana, zwisająca u końca piszczela, nabrać ma wysmukłego kształtu kieliszka do wina. Wędruje więc kropla z rąk do rąk, w zawrotnym tempie, przekazywana jak pałeczka sztafetowa. Znika piszczel i znów się pojawia, gdzie indziej i w innych rękach. Siedem par rąk i siedem piszczeli.

Dalszy ciąg na str. 3

## REFLEKSJE

EDWARD SZUSTER

# NOWE KINA DLA ŁODZI

W ostatnich dniach wertowałem gazety łódzkie z roku 1927 i przy tej okazji uświadomiłem sobie, że liczba kin w naszym mieście jest dziś mniej więcej taka sama jak przed pół wiekiem. Oczywiście, nasze dzisiejsze kina są lepiej urządzone i wyposażone niż tamte sprzed lat pięćdziesięciu, ale ilościowa stagnacja nie jest chyba zjawiskiem wyzwalającym w łódzkim rodaku uczucie zadowolenia. Kiedy więc na czołowej stronie **„Głosu Robotniczego"** ujrzałem tytuł **„Nowe kina dla Łodzi"** — rzuciłem się na tę informację gazety łapczywie w przekonaniu, że znajdę w niej coś, co ucieszy i mnie i tych wszystkich mieszkańców naszego miasta, którzy sądzą że przydałoby się nam parę nowych i nowoczesnych kin.

Czytając informację o nowych kinach dla Łodzi dowiedziałem się — po pierwsze — że cztery lata temu zakończone zostały prace nad projektem przebudowy kina, **„Polonia"** i że pieniądze na tę przebudowę odpowiednia instytucja — **Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów** — posiada, nie znajduje jednak chętnego do wykonania tych robót.

**„Może więc** — pisze autor notatki sygnowanej literami M.K. — **za pośrednictwem naszej gazety zgłosi się jakieś przedsiębiorstwo, które wykonałoby prace remontowe w kinie „Polonia".**

Przyznam, że nie bardzo wierzę w skuteczność tego apelu, bo nie wierzę by istniały w naszym kraju przedsiębiorstwa budowlane dysponujące wolnymi mocami produkcyjnymi i niecierpliwie oczekujące propozycji. Gdyby jednak nawet — w co, jak powiadam, nie bardzo wierzę — dzięki publikacji w gazecie znalazł się chętny do wykonaoia remontu kina **„Polonia"** to i tak będzie to tylko remont starego kina i żadnego nowego kina dzięki temu remontowi Łodzi nie przybędzie. Pewien jestem nawet, że próba przywrócenia otoczeniu i wnętrzu kina **„Polonia"** secesyjnego charakteru dawnego teatru **„Victoria"** sprawi, że kino to na ładnych kilka miesięcy z eksploatacji wypadnie, a więc ilość miejsc w kinach łódzkich na jakiś czas zmaleje.

Czytając informacje o nowych kinach dla Łodzi dowiedziałem się — po drugie — że **Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów** zamierza przerobić kino **„Przedwiośnie"** na kino-kawiarnię korzystając z doświadczeń naszych sąsiadów z NRD czy Czechosłowacji. Jest pomysł, jest projekt, są pieniądze **„lecz nie można** — stwierdza redaktor M.K. — **dostać szklanych płyt".** Znów znajdujemy w notatce apel do „którejś z hut" i słowa nadziei, że apel ten spotka się z właściwym odzewem, tak jakby nasze huty miały kłopoty ze zbytem swej produkcji.

Czytając tę informację o przyszłości kina **„Przedwiośnie"** zrozumiałem, że — wbrew tytułowi notatki — chodzi ponownie o remont istniejącego już od dawna kina, że ów remont jest jeszcze w lesie, bo jeśli nawet znajdą się szyby to będą najpewniej kłopoty z wykonawcą, takie same jak w kinie **„Polonia".** Słowem i wiadomość o pięknej perspektywie stojącej przed kinem **„Przedwiośnie"** należy do tych, które mówią o dobrych chęciach i niemożliwości ich zrealizowania. Przyznaję, że takie wieści nie wprawiają mnie w możliwie najlepszy nastrój, a zgrzyt jest tym przykrzejszy, im bardziej zawartość przeczy opakowaniu, treść — tytułowi.

Na szczęście nie tylko o niemożliwościach mówi nam autor notatki noszącej tytuł **„Nowe kina dla Łodzi".** Znajdujemy w niej na koniec wiadomość o decyzji budowy naprawdę nowego kina, które zlokalizowane zostanie przy rogu Piotrkowskiej i Głównej. W tej okolicy stoi do dziś budynek, na frontonie którego widnieje stiukowy emblemat z napisem **„Teatr Świetlny Adria"** choć teatru świetlnego, czyli kina, od dawna tam już nie ma. Nowe kino, które gdzieś tu powstanie mieścić ma 630 widzów a jego projekt **„byłby zbliżony** — informuje redaktor M.K. — **do kina „Iwanowo".** Tę wiadomość przyjąłem z satysfakcją, bo choć nie byłem jeszcze w kinie **„Iwanowo"**, to miałem okazję widzieć kino **„Łódź"** zbudowane w **Iwanowie,** a nie mam powodu mniemać, by nasze **„Iwanowo"** było od iwanowskiej „Łodzi" gorsze choćby dlatego, iż zbudowaliśmy je później. Jak by nie było, nowe i nowoczesne kino przyda się naszemu śródmieściu niewątpliwie, a że na jego otwarcie poczekać przyjdzie ze trzy—cztery lata, to trudno. Roboty zacząć się mają za rok a kłopotów z wykonawcą czy brakiem szyb — tym razem redaktor M.K. nie sygnalizuje. Sygnalizuje on nam natomiast możliwość urządzenia **w Muzeum Historii Miasta** kino-kawiarni o specjalnym, jak powiada, charakterze, tylko ciasna klatka schodowa jest tymczasem przeszkodą na drodze tej inicjatywy. O pokonaniu tej przeszkody się myśli.

Tak więc z nowych kin dla Łodzi zrobiło się jedno nowe kino. Dobre i to. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby tytuł notatki, która te refleksje wzbudziła nie zapowiadał więcej niż w istocie jest.

## INFORMACJE

### NAGRODA „EKRANU" DLA H. CZYŻA

Redakcja tygodnika „Ekran" rozdzieliła nagrody za twórczość telewizyjną. Do nagród pretendują również programy muzyczne. Za najlepszy w ub. roku uznano cykl audycji przygotowany w łódzkim OTV pt. „Nie taki diabeł straszny". „Złoty ekran" przyznano Henrykowi Czyżowi, dyr. art. Filharmonii Łódzkiej, pod którego kierunkiem odbywały się koncerty telewizyjne, urozmaicone ciekawymi opowieściami i anegdotkami o muzyce.

„Złoty ekran" otrzymał m. in. również Grzegorz Królikiewicz za reżyserię widowiska pt. „Trzeci Maja".

### POETYCKI TURNIEJ DLA DEBIUTANTÓW

W dniu 25 bm. o godz. 18 w SDK „Lokator" w Łodzi przy ul. Nowopolskiej 12/14 odbędzie się II Wiosenny Turniej Poetycki „Debiuty 77" organizowany przez Koresponcencyjny Klub Młodych Pisarzy „Wiadukt", działający przy Zarządzie Łódzkim ZSMP.

W turnieju może uczestniczyć każdy, kto zajmuje się poezją i dotychczas nigdzie nie publikował swoich utworów (jak również nie był nagradzany w innych turniejach) oraz nie przekroczył 30 roku życia.

Wiersze (nie więcej niż trzy) w dwóch egzemplarzach maszynopisu (ewent. czytelnym rękopisie) opatrzone imieniem, nazwiskiem i adresem (z kodem) należy nadsyłać pod adresem SDK „Lokator" (kod 91-712) z dopiskiem na kopercie: „Debiuty 77".

### KONKURS POETYCKI O „MILOWY SŁUP"

W celu spopularyzowania młodej twórczości współuczestniczącej w tworzeniu kultury socjalistycznej zaangażowanej w kształtowaniu postaw społecznych i patriotycznych oraz umożliwienia młodym twórcom nawiązania dialogu z odbiorcą ze środowisk robotniczych, Zarząd Wojewódzki ZSMP, Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy w Koninie, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Koninie, WRZZ w Koninie, Konińskie Zakłady Naprawcze, Huta Aluminium w Koninie, redakcja Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego „Nurt" w Poznaniu, redakcja dwutygodnika „Wielkopolskie Zagłębie" oraz Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Koninie ogłaszają I Ogólnopolski Konkurs Poetycki o nagrodę „Milowego Słupa".

Konkurs jest impreza otwartą, w którym udział mogą wziąć poeci niezależnie od miejsca zamieszkania, nie zrzeszeni w ZLP. Na konkurs należy nadsyłać prace nigdzie dotąd nie publikowane, trzy utwory w 5 egzemplarzach każdy, pod adresem ZW ZSMP 62-510 Konin, al. 1 Maja 15 z dopiskiem na kopercie „Konkurs Poetycki".

Każdy utwór powinien być opatrzony godłem, do zestawu prac należy dołączyć zalakowaną kopertę opatrzoną tym samym godłem, zawierającą imię, dokładny adres oraz krótką notę biograficzną autora. Ostateczny termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 kwietnia br.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody: I nagroda statuetka „Milowego Słupa" oraz 4 tys. zł, II — 3 tys. zł, III — 2 tys. zł, nagroda za najlepszy wiersz o tematyce związanej z regionem konińskim — 1 tys. zł, nagroda za najlepszy wiersz zaangażowany — 1 tys. zł, nagroda za najlepszy wiersz autora debiutującego — 1 tys. zł (wiersze pretendujące do tej nagrody winny mieć obok godła dodatkowo napis „Debiut").

Dodatkowych informacji udziela główny organizator konkursu ZW ZSMP w Koninie, al. 1 Maja 15, telefon 243-94.

## LISTY

# JESZCZE RAZ „DWIE KOBIETY I PREZES"

**OD REDAKCJI: Przestrzegając szlachetną zasadę, że i drugiej stronie należy dać możliwość wypowiedzenia się, publikujemy list Edwarda Skuły, jakkolwiek nie ze wszystkimi argumentami autora listu możemy się zgodzić. W świetle faktów — jakie przytaczała w swoim artykule red. Zofia Tarnowska, a były tam i opinie sądu i jednostek kontrolujących — trudno zgodzić się z posądzaniem jej o stronniczość.**

**Publikujemy list Edwarda Skuły, aby zachować zasadę umożliwiającą wypowiedzenie się stronie drugiej, zamykając tym jednocześnie całą sprawę na naszych łamach. Więcej do tego tematu wrócić nie chcemy.**

Już po raz drugi na łamach „Odgłosów" zabrała w mojej sprawie głos red. Zofia Tarnowska, czyniąc to z uporem zaiste godnym lepszej sprawy. A jest to tym bardziej godne zastanowienia, iż według opinii Pani Redaktor wyrażanej w obydwu publikacjach: **„Dwie kobiety i prezes"** z 26 lutego 1976 r., oraz **„Jeszcze raz dwie kobiety i prezes"** z 13 lutego 1977 r., a więc niejako w rocznicę — więc według tej opinii, a także łatwych do odczytania podtekstów, wbrew wszystkiemu i wszystkim rację mają dwie „niewinne istoty", kobiety prześladowane przeze mnie, w czasach gdy pełniłem społeczną funkcję prezesa Lokalnego Zrzeszenia Właścicieli Nieruchomości, zaś Janina Żuromska — była wówczas główną księgową Zrzeszenia, a Janina Góralczyk kierownikiem Biura Usługowego Administracji Domów tegoż Zrzeszenia...

Jak sama autorka przyznaje, po pierwszym jej artykule do redakcji przybyli „niemal wszyscy członkowie zarządu (...) z żądaniem sprostowania artykułu, potwierdzili to następnie pismem..." Ale Jej to nie wystarcza. Nadal uważa, że w konflikcie jednego mężczyzny (już zresztą nie pierwszej młodości) i dwu kobiet, stroną mającą bezsporną, niepodważalną słuszność mają kobiety. I nie przekonują Ją ż a d n e argumenty, ani świadectwo „niemal wszystkich członków zarządu", ani fakt, iż sprawy rozpatrywane były i kontrolowane przez rozmaite czynniki, a wśród nich prokuraturę, a także sąd dwu instancji, które nie dopatrzyły się znamion przestępstw imputowanych im przez owe dwie b. pracownice Zrzeszenia.

Zrzeszenie nie jest zepewne ani pierwszą, ani ostatnią niestety instytucją, w której powstał tak zwany międzyludzki konflikt — on jeden jest bezsporny, wszystko inne jest insynuacją niestety (dla oskarżających) i na szczęście (dla mnie).

Tak więc Szanownej Autorki nie przekonują świadectwa ludzi godnych zaufania i takowym się cieszących, o czym świadczy fakt prawie ponownego ich wybrania, już po pierwszym artykule do tych samych społecznych władz. Nie przekonują jej orzeczenia sądu i stanowisko prokuratury. Redaktor Tarnowska broniąc swoich dwóch podopiecznych w i e lepiej i obstaje przy swoim niezłomnie.

Jeżeli jest doświadczonym dziennikarzem, to powinna chyba unikać stawiania się w takiej sytuacji, gdy przyznając rację dwóm kobietom poddaje w wątpliwość racje reprezentowane przez poważne instytucje i stowarzyszenia. Nie da się tego niestety inaczej wytłumaczyć, jak tylko stronniczością i chęcią nękania, dokuczania, zatruwania życia — tak się złożyło — że mnie, niżej podpisanemu.

O tym, że działalność tego rodzaju instytucji jak Zrzeszenie albo na przykład Rejony Obsługi Mieszkańców — nie przebiega w naszym kraju i w naszym mieście jak należy, wie każde dziecko i red. Tarnowska nie odkrywą niczego nowego. Co bardziej szanujący się dziennikarze przestali od dawna o tym pisać. O tym, że sytuacja prywatnych posesji jest na ogół opłakana, a możliwości finansowe Zrzeszenia nikłe, także wiadomo. I nie jest — na zdrowy rozum możliwe, aby jeden człowiek, to znaczy ja, mógł tu zbyt wiele popsuć, ani też dwie inne zbyt wiele naprawić, czy też trafić na „aferę". Afery jak się szybko okazało — nie było. „Aferę" usiłowały zorganizować dwie b. pracownice Zrzeszenia — „aferę" w dziedzinie stosunków międzyludzkich.

Zajmuję się tu celowo interpretacją tej sprawy, a nie przedstawieniem dowodów (są liczne) bezpodstawności zarzutów obydwu pań i tendencyjności trzeciej. Dokumenty, świadectwa, dowody mogę przedstawić w każdej chwili i red. Tarnowska powinna się z nimi wreszcie zapoznać, aby dać spokój tej sprawie, a mnie przede wszystkim. Powinna już wiedzieć, że nie uda się — bo wbrew dowodom — poprzeć pomysłu, aby mnie posadzić na ławie oskarżonych. Teraz może mnie już tylko zamęczać insynuacjami, podejrzeniami, przypomnieniami pomówień nie istniejących i podejrzeń itd. i itp. I to jej się może udać, bo jestem człowiekiem w podeszłym wieku i nie najlepszego zdrowia.

Więc czy o to jej chodzi? Tego chciałbym się dowiedzieć od Niej za pośrednictwem tygodnika „Odgłosy", który proszę o opublikowanie mojego listu w myśl szlachetnej starej zasady o tym, iż należy także dać możność wypowiedzenia się drugiej stronie. Szczególnie wtedy, gdy racje pierwszej „strony" najwyraźniej nie ze szlachtnych rodzą się pobudek.

Z poważaniem

**EDWARD SKUŁA**
b. prezes Zarządu Lokalnego Zrzeszenia Nieruchomości

# OGŁOSZENIE

**Sekretariat Ogólnopolskiego Konkursu na Nowelę Filmową o Tematyce Współczesnej zawiadamia, że z uwagi na duże zainteresowanie konkursem i dużą ilość nadesłanych prac — Sekretariat Ogólnopolskiego Konkursu na Nowelę Filmową o Tematyce Współczesnej informuje, iż termin zakończenia konkursu został przesunięty o jeden miesiąc. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone w miesiącu kwietniu br.**

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Foto: Archiwum

# DO SZKŁA TRZEBA CZULE

Dalszy ciąg ze str. 1

Brygada **Kazimierza Szewczyka** wprawia w nieustanny ruch niezwykłą taśmę produkcyjną, napędzaną nie przez maszynę, lecz przez ludzkie płuca i ręce. Jeden dmucha, drugi burgluje, trzeci szkło obcina.

Pot z czoła przedramieniem obetrzeć, wyrzucić z kącika ust dogasłego peta, przerzucić ciężar ciała na drugą nogę, bo tamta już ścierpła. Taśma w nieustannym ruchu. Wrzucić swój piszczel w dłonie kolegi, sięgnąć za siebie po następny. Każdy ruch, każda operacja, to ułamek sekundy. Zagapić się na sekundę — to zakłócić rytm taśmy, to sknocić kieliszek.

**— Do szkła trzeba czule, szkło jest żywe i delikatne, trzeba je pieścić i głaskać, żeby gorący sopel zamienić w kielich czy szklankę. Człowieka nie zastąpi maszyna. Nawet najdoskonalsza. Zabraknie jej subtelności i czucia ludzkich oczu i palców** — mówi dyrektor Szaliński.

Dziewiętnaście brygad — dziewiętnaście taśm produkcyjnych działa równocześnie u hutniczego pieca.

Zieje piec czerwonymi otworami, migocą i łyskają gorące krople szkła, krążą dziesiątki piszczeli, kołyszą się ludzkie sylwetki.

U wejścia na halę produkcyjną czeka już kolejna zmiana. Dopalają papierosy, czekają aż skończy się szósta godzina pracy poprzednich brygad. W biegu niemal zmienią kolegów, aby nie zatrzymać ruchu taśmy produkcyjnej.

## SZKLANKI TO JUŻ PRZESZŁOŚĆ

Proste szklanki to już przeszłość. Produkcja teraz bogatsza i trudniejsza. Huta się wybiła. Produkuje prawdziwe ozdoby domowych stołów i sklepowych witryn. Gastronomia już nie ma czego tutaj szukać, nie przysyła już swoich zaopatrzeniowców. Za to coraz bardziej interesują się radomszczańskim szkłem zagraniczni handlowcy.

Produkcja trudniejsza. Bardziej pracochłonna. A ludzi maszyną nie zastąpisz. Ich płuca i ręce decydują o tempie, przesądzają o ilości. Jasne, że wiele znaczy organizacja pracy. Stąd też system brygadowy, gdzie droga od szklanej kropli do gotowego wyrobu podzielona została na sekundowe etapy, gdzie jeden tylko dmucha, drugi — formuje, a trzeci kończy.

**— Tam, gdzie na to warunki technologiczne pozwalały wprowadziliśmy na przestrzeni ostatnich lat urządzenia mechaniczne** — wyjaśnia dyrektor techniczny huty, inż. Tadeusz Bartosiewicz. **— Za ich pomocą udało się wyeliminować wiele pracochłonnych, lecz prostych, operacji. Niestety, większość naszych wyrobów jest obecnie tak skomplikowana, że ich jakość, a często w ogóle wykonanie, uzależnione jest w sposób bezpośredni od pracy typowo ręcznej. Doszło nawet do takich technologicznych paradoksów, jak konieczność zrezygnowania z mechanicznego transportera taśmowego, który został rozmontowany i usunięty z hali. Wyroby, które wędrowały przedtem taśmociągiem, nosi się teraz w rękach, gdyż na taśmie — gorące przecież jeszcze — ulegały pod własnym ciężarem odkształceniu.**

O wszystkim więc decydują ludzie. Ich wiedza i kwalifikacje, doświadczenie i zapał, które mają bezpośredni wpływ na wyniki produkcji, na podejmowane próby jej unowocześnienia i uatrakcyjnienia.

Zapał na szczęście jest. Dowiodła tego najlepiej niedzielna szkoła mistrzów, którą organizował kierownik produkcji, **Marian Jańczyk,** ściągając na zajęcia doskonałych instruktorów z Piotrkowa. Przez cały rok szkoliło się dobrowolnie przeszło trzydziestu hutników, a ośmiu nawet wysłanych zostało przez zakład po naukę do Krosna. Niedzielne szkolenia miały istotny wpływ na produkcję. Dzięki bowiem treningom, prowadzonym pod okiem najlepszych fachowców, łatwiej i szybciej wprowadzać można było do produkcji coraz to nowe wyroby, chociażby najtrudniejsze i najbardziej skomplikowane. Nic zatem dziwnego, że i w tym roku załoga zawinszowała sobie kontynuację niedzielnej szkoły.

## KIEDY O PRACĘ NIETRUDNO

Zachęcić ludzi do dobrej i wydajnej pracy nie jest łatwo. Ba, nie jest ich w ogóle łatwo zatrzymać w zakładzie. Pół biedy, jeśli odchodzi jakiś obibok i leniuch, gorzej gdy wymówienie składa zdyscyplinowany i dobry fachowiec, szukający gdzie indziej lepszych warunków pracy i płacy.

**A Radomsko** przecież dzisiaj to silny ośrodek przemysłowy. Zakłady Przemysłowe im. Komuny Paryskiej, Fabryka Mebli Giętych czy najmłodsza wreszcie Wytwórnia Konstrukcji Stalowych „Mostostal". Do tego bliska Częstochowa, nie tak też odległy Piotrków.

**— Przed kilkoma laty produkcja naszej huty była nieatrakcyjna, niezbyt zachęcające były też zarobki, uzależnione przecież bezpośrednio od wartości naszej produkcji. Trzeba więc było zrewolucjonizować produkcję** — wyjaśnia dyrektor Szaliński. **— Wzbogacić ją, uatrakcyjnić, zwiększyć jej wartość, dać ludziom lepiej zarobić. Zdobyliśmy się więc na wielki wysiłek, zaczęliśmy radykalnie zmieniać profil produkcji, wprowadzając do niej całą gamę skomplikowanych i ciekawych pozycji wzorniczych. Zwłaszcza, że nie jesteśmy dużą hutą, nie mogliśmy więc i nie możemy nadal oddziaływać na rynek ilością naszych wyrobów. Możemy jednak zaznaczać swoją obecność na rynku, wzbogacając jego asortyment. Na tym polega istota przemian, jakie zaszły i zachodzą w naszej hucie.**

Huta się wybiła. W stosunkowo krótkim czasie. W bieżącej produkcji zakład ma bez mała sto różnych pozycji. Ze trzydzieści typów szklanic, szklanek i szklaneczek, niewiele mniej rodzajów kielichów, kieliszków i kieliszeczków, a nadto dzbanki i karafki, kompotierki i podstawki i cała masa wyrobów galanteryjnych, których nazwę i przeznaczenie trudno określić bez pomocy fachowca. Oryginalne banie, wymyślne linie, wykwintne szlify. Krótkie serie i bogactwo wzorów.

**Natalia Kołodziejczyk** — zakładowy plastyk — opracowuje rocznie około dwudziestu pięciu zestawów, z których każdy obejmuje od trzech do kilkunastu wzorów, w większości wprowadzanych do produkcji. Huta ponadto zatrudnia na pół etatu plastyka z Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, który nie gorzej wywiązuje się ze swych obowiązków.

Wyroby z Radomska podobają się nie tylko w kraju. Zakład zdobył też na przestrzeni ostatnich lat renomę za granicą. W ciągu trzech lat wartość eksportu wzrosła... dwudziestokrotnie, sięgając w tegorocznych planach 300 tysięcy złotych dewizowych. Eksport to tylko kraje kapitalistyczne — Dania, Australia, USA, Francja, RFN, Norwegia, Kanada — i tylko galanteria szklana, a więc wyroby, których na rynku nie brakuje.

**— Gdybyśmy nie zmienili profilu naszej produkcji** — wyjaśnia dyrektor Szaliński — **nie mielibyśmy szans z wyjściem na rynki zagraniczne. Tak, jak przy starym, prostym i tanim asortymencie, a równoczesnym braku możliwości zwiększenia wartości produkcji poprzez wzrost wydajności pracy, nie mieliśmy szans na zwiększenie wartości produkcji, na realizację wzrastających planów, na urzeczywistnienie wskaźników dynamiki produkcji.**

Bez mała sto milionów złotych sięgnąć ma tegoroczna wartość produkcji radomszczańskiej huty, na którą to produkcję złożyć się ma ponad dziewięć milionów sztuk różnych wyrobów. Taki jest plan. Załoga ma jednak — prócz planu — swój program. Na temat tego programu toczą się codzienne dyskusje, do udziału w których nie dopuszcza się jednak osób postronnych. Przybysze z zewnątrz dowiedzieć się mogą tylko tyle, że program jest większy od planu, ambitniejszy, ale o zamierzeniach lepiej nie mówić, bo realizacja ich zależy nie tylko od huty. Warunków urzeczywistnienia programu jest wiele, złożonych i skomplikowanych.

## HUTA WYBIŁA SIĘ

Dokonała skoku. Zauważalnego nawet dla laika, który porównuje jej wyroby sprzed trzech lat i te, schodzące z taśmy produkcyjnej.

Tamte proste, jeśli nawet zdobione, to skromnie i tradycyjnie. Te zaś — bogate i skomplikowane, zaskakujące swoją oryginalnością i urodą. Nie tylko tym. Tamte bowiem sprawiają — w zestawieniu z nowymi — wrażenie niedomytych zakopconych, przykurzonych. Są po prostu jakby żółte ze starości. Te zaś — nowe — z niewielkiej nawet odległości trudno odróżnić do kryształu. Nad niejednym zresztą kryształem górują nadzwyczajną wprost przejrzystością szkła i jego bielą tak nieskazitelną, że niebieszczącą się z lekka pod działaniem światła.

**— Rzeczywiście, w sposób istotny zmieniliśmy barwę naszego szkła** — mówi dyrektor techniczny, Tadeusz Bartosiewicz — **które nie ustępuje dziś kolorowi szkła najprzedniejszych marek. Przeszło rok trwała zresztą praca nad zestawieniem odpowiedniej receptury masy, a także wdrożeniem technologii wytopu.**

Radomszczańskie szkło w pełni swojej krasy widać najlepiej w kuglerni, w której gotowe już wyroby uzyskują bogate zdobienia. W furkocie szlifierskich kół, zgrzycie nacinanego szkła, szumie wody chłodzącej jego powierzchnię — powstają szklane cacka. Tu również niezbędna jest szybkość i precyzja. Ponieważ praca jest przy tym nie najcięższa, znakomicie sprawdzają się przy niej kobiety.

Jedną z najmłodszych jest **Anka Rutkowska,** która podjęła pracę w hucie zgodnie z rodzinną tradycją. Pracuje tu jej ojciec — Leszek, a nawet i dziadek — Bronisław. Całych rodzin pracujących w hucie są dziesiątki. Trzon niespełna osiemsetosobowej załogi jest zresztą stały. Większość zatrudniona jest tu od wielu lat. Większość też uczestniczy w przemianach, jakie zachodzą w hucie.

Huta modernizuje się i przebudowuje. Ciasnotę działki budowlanej, jaką obejmuje, pogłębia jeszcze fakt, że wiele zabudowań poddawanych jest remontowi i unowocześnieniu, cały więc teren przypomina plac budowy. O tym jednak, żeby stał się placem budowy z prawdziwego zdarzenia marzy od dawna cała załoga. Warunki socjalne bowiem, jakie występują w hucie, oględnie mówiąc, pozostawiają wiele do życzenia. Załoga, w której większość — to kobiety, nie dysponuje nawet normalnymi szatniami i pokojami higienicznymi, nie mówiąc już o stołówce czy świetlicy.

Budowa budynku socjalnego, z wszystkimi niezbędnymi urządzeniami, zaplanowana została na ten rok. Dokumentacja jest już gotowa od dawna. Limity finansowe przygotowane. Budowa uwzględniona została w tegorocznym programie inwestycyjnym województwa piotrkowskiego. Niestety, huta nie może doprosić się wykonawcy.

**— Budowa tego obiektu jest dla nas problemem ogromnie ważnym** — mówi dyrektor Szaliński. — **Właściwe warunki pracy i płacy, to nie wszystko. Naszej załodze należy się też stworzenie odpowiedniej sytuacji socjalno-bytowej, tym bardziej że przecież wszyscy wiedzą, iż pod tym względem jesteśmy bardzo zacofani w porównaniu z większością zakładów przemysłowych w całym kraju. Załodze więc się to należy. Ostatecznie, swoją codzienną pracą, wysiłkiem swoich umysłów, płuc i rąk przyczynia się, jeśli nie do poprawy zaopatrzenia na rynku wewnętrznym, to przynajmniej do wzbogacenia oferty naszego przemysłu.**

Huta się wybiła. Zyskała uznanie. To cieszy. Jest to niewątpliwie sukces załogi. Ale szkoda, że obok tych cudeniek ciągle brakuje na rynku prostych, zwykłych szklanek. Nie musiałyby być takie brzydkie jak kiedyś. Ludzie poszukują bowiem prostych, tanich i ładnych szklanek. I o tym też warto pamiętać.

JACEK INDELAK

NIE TYLKO HISTORIA

# KSIĄŻKA O BRONISŁAWIE SZWARCE

W pomnikowym dziele Stefana Kieniewicza o Powstaniu Styczniowym nazwisko Bronisława Szwarce pojawia się pięćdziesiąt jeden razy. Występuje tam — podobnie jak w wielu innych dziełach o 1863 roku — w dwojakim charakterze: aktora wydarzeń oraz historyka, relacjonującego ich przebieg. A przecież rola B. Szwarce w powstaniu, jego działalność w Białostockiem, udział w Komitecie Centralnym Narodowym, areszt, śledztwo, pobyt w Szlisselburgu — to bardzo ważne, ale nie jedyne karty z bogatego życiorysu tego wybitnego przedstawiciela polskiej demokracji ubiegłego stulecia. Mimo jednak, że był on postacią znaczącą, daleko nam było do pełnej znajomości jego życia i działalności. Podczas kiedy o innych pisano wiele i często, nieraz mają już po kilka naukowych biografii, o B. Szwarce wspomniano po wielekroć, ale od dawna jakoś nikt z kompetentnych badaczy nie kwapił się, by zająć się nim w specjalnym studium. A źródeł — nawet tych znanych już nauce — jest wcale sporo, zaś odnaleźć można jeszcze więcej. Wiem to z własnego doświadczenia.

Byłem właśnie zajęty odcyfrowywaniem zagadkowych listów politycznych B. Szwarce pisanych z Galicji do Henryka Bukowskiego, wielce zasłużonego sztokholmskiego antykwariusza, z przekonań demokraty, który wraz z paru działaczami starał się zmontować jakąś grupę polityczną, która by się przeciwstawiła rosnącym wpływom narodowej demokracji, kiedy poczta dostarczyła mi książki, zamówione przed paru miesiącami w Warszawie na wystawie naukowej książki radzieckiej. Jednym z dzieł, na które wówczas zwróciłem uwagę, była właśnie praca o Bronisławie Szwarce. Mam ją w tej chwili przed sobą i chociaż nie zakończyłem jeszcze dokładnej lektury — wymaga to bowiem konfrontacji ujęć zaproponowanych w tej pracy z posiadanym przeze mnie materiałem źródłowym — wyrobiłem sobie na nią pogląd. Autorką tej książki jest Olga p. Morozowa, a tytuł dziełka brzmi (w polskim tłumaczeniu): „Polski rewolucyjny demokrata Bronisław Szwarce". Monografia ta ukazała się w 1975 r., jako kolejna publikacja dobrze nam znanego Instytutu Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR.

Już po lekturze wstępu orientujemy się, że mamy tu do czynienia z pracą, będącą wynikiem wieloletnich badań autorki. O. P. Morozowa rozpoczęła je pod kierunkiem znanego radzieckiego badacza dziejów Polski I. S. Millera; pierwszą redakcję swej książki konsultowała ze S. Kieniewiczem, do ostatecznej zaś wersji dziełka przyczynił się dobry nasz znajomy W. A. Djakow. Rzecz oparta jest o bardzo staranną kwerendę źródłową: oprócz materiałów już wydanych drukiem, autorka wykorzystała wiele archiwaliów, odnalezionych w zbiorach polskich i radzieckich. Również i tym razem te ostatnie znaleziska mają szczególnie duże znaczenie, zwłaszcza dla rekonstrukcji rosyjskich lat życia polskiego demokraty. Nie dotarła autorka do zbiorów paryskich, gdzie znalazłoby się nieco uzupełniającego materiału o życiu i działalności jej bohatera.

Aczkolwiek w swej książce O. P. Morozowa zajmuje się przede wszystkim — najzasadniej — polityczną aktywnością B. Szwarce, nie pominęła przecież jego działalności jako historyka Powstania Styczniowego. Słusznie podkreśliła, że jego aktywność historiograficzna „jest przykładem, jak ważne było przy ocenie rewolucyjnych wydarzeń spojrzeć na nie oczyma rewolucjonisty, zanalizować je na podstawie rewolucyjnego sposobu myślenia". Zauważyła przy tym, że właśnie dzięki temu twórczość historyczna B. Szwarce mogła stanowić „ważne ogniwo" w kształtowaniu się adekwatnych poglądów na powstanie. „Walka Szwarcego o rewolucyjno-demokratyczny kształt powstania 1863 r. przerodziła się po latach w walkę o zachowanie i przekazanie przyszłym pokoleniom rewolucyjno-demokratycznej tradycji tego zrywu". I taki był właśnie sens historiograficznych zatrudnień B. Szwarce.

„Nie mam prawdopodobnie w żyłach ani kropli krwi polskiej, nawet słowiańskiej" — powiadał B. Szwarce o sobie. Rodzina była pochodzenia niemieckiego, on sam urodził się we Francji jako syn emigranta, i posiadał obywatelstwo francuskie. „Wyznaję wiarę prawie dziś obcą Polakom, ba, nawet ogólnie wyklętą" — pisał B. Szwarce, czyniąc aluzję do swego wyznania ewangelickiego. „Po kiego więc (przepraszam) licha jestem Polakiem? Jestem Polakiem, bo mi się tak podobało, bo Polakiem być chcę pomimo wszelkich przeszkód i klęsk". Był Polakiem z tradycji i własnego wyboru — tradycji polskiego patriotyzmu spolszczonych niemieckich mieszczan — wyboru młodego wychowanka szkół francuskich, który zrezygnował z otwierającej się przed nim błyskotliwej kariery we Francji, aby pracować i walczyć dla ojczyzny swego ojca, którą znał jedynie z jego opowieści i z literatury. Bardzo dobrze, że doczekał się wreszcie monografii.

ANDRZEJ F. GRABSKI

# LITERATURA

## GRAŻYNA BANASZKIEWICZ

# MINIATURY

☆ ★ ☆

**Moja matka przychodzi wieczorem i milczy —**

**To**
**jej kolejna rocznica**
**czarno-białej fotografii**
**kobiety w jasnym kostiumie**
**i przystojnego mężczyzny**
**z przyszłością**

☆ ★ ☆

**Wieczór**
**odwrócił się plecami**
**odchodzi**
**po rusztowaniu**

**podbiegam do okna**
**wołam**

**pies łeb podnosi**
**patrzy na mnie**
**z niedowierzaniem**

☆ ★ ☆

**Nie dotykaj**
**kropli stygnącej**
**pod źrenicami**
**otwartymi w gorączce...**

☆ ★ ☆

**Gdyby**
**uniósłszy wieko**
**napoić sokiem**
**porozwieszać na drzewach czereśnie**
**i muchom**
**pozwolić spać na suficie —**

## ZAUŁEK ODCHODZĄCYCH KROKÓW

**Zamknięte okna w kamienicach**
**przed którymi znak — brak wyjścia**
**na narożniku fotograf**
**nad nim zegar**
**ani na chwilę się nie zatrzymał**

## LEONARD ZAJDEL

# HAMLET

**Gdy pójdę śpieszniej, czy wyminę**
**szydercze ostrze przeznaczenia,**
**błysk losu zanim ciszą przejmie**
**w piasku podmokłym żółty czerep?**

**A jeśli zwolnię, czy przywrócę,**
**kim byłem w owym dniu brzemiennym,**
**gdym począł iść nie znając drogi?**

**Z nocy i w noc ośleply wchodzę.**

# GDYBYM TO MIAŁ

**Gdybym to miał szafirowe piórka kolibra**
**albo papugi ara, trzepoczące w gorących**
**zenitach rozlewnego bezruchu południa...**
**Gdybym był kwiatów polnych wonią**
**lub jabłoni bielą, kwitnącej w środku**
**wiosny rozbrzęczonych sadach...**
**Gdybym był śpiewającą złotą pozytywką**
**zawieszoną starodawną melodią**
**w zadumanej samotności przedwieczornej...**
**Nie jestem.**
**Świt dłoń białą na płonącą kładzie wyobraźnię.**

## GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

★ ☆ ★

**W zimnym mieszkaniu**
**i ciągle samotny**
**Kim jesteś?**
**Łotrem?**
**Były większe łotry...**

**Ale gdy wiosna się skrada ukradkiem**
**Przez zwały śniegu przez sople na oknach**
**to taje serce z baśni Andersena**
**To serce taje chociaż go już nie ma**

Właścicielka „Muszelki", pani Klementyna, równie wiekowa jak jej drewniana willa okazała się przemiłą, niczemu już nie dziwiącą się gospodynią. Pokoik na piętrze, który mi zaproponowała, patrzył oknem na morze. Tuż obok, przez korytarz, mieszkała Ewa. Pozostałe pomieszczenia czekały dopiero na sezonowych gości. Właścicielka mieszkała na dole. Tam też obmyślały i przyrządzały sobie z Ewą posiłki zgodnie i cierpliwie zachwalając zalety dietetycznej kuchni, którą Ewa po chorobie musiała, a pani Klementyna — choćby z racji wieku — powinna stosować. Ewa szybko wracała do siebie. Nadmorski klimat zrobił jej szczególnie dobrze. Osmagana wiatrem, łagodnie opalona wiosennym słońcem — wyglądała czerstwo i ładnie. Czuła się znakomicie; dużo spacerowała, wdychała jod i... spała.

Nazajutrz było szaro, wilgotno i sztormowo. Brnęliśmy plażą pod wiatr. Bałem się o Ewę. Kilka razy usiłowałem namówić ją do powrotu, ale ta uparła się, że musimy dojść aż hen, do wysokich, porosłych karłowatą sosną wydm. A tam, jak ręką uciął, było cicho, przytulnie. Zmęczona, zaróżowiona od wysiłku, Ewa usiadła na powalonej, na poły zasypanej piaskiem sośnie. Przysiadłem obok i początkowo całkiem bezmyślnie kreśliłem patykiem po piasku jakieś esy floresy. A potem, już świadomie, zacząłem rysować dom. Mam to od dziecka. Dokąd sięga moja pamięć, kiedy tylko po raz pierwszy dostałem do ręki ołówek i kawałek czystej kartki, zaraz zaczynałem rysować dom. Ściana. W środku drzwi z klamką. I schody. Dwa okna. Dach. Obowiązkowo pokratkowany, pokryty dachówką. Był jeszcze sztachetowy płot. Drzewo. Nie wiem dlaczego, ale była to zawsze choinka. Chyba jednak dlatego, że choinka bożenarodzeniowa podobała mi się najbardziej; takie drzewo najłatwiej mi się rysowało. Jakaś twarz wyglądała przez okno. A na jednym końcu dachu było jeszcze gniazdo bocianie. Bocian, jak to bocian, stał na jednej nodze. Trzymał żabę w dziobie, a ta żaba, też nie pojmuję dlaczego, była zawsze większa od bociana, a w proporcji była chyba taka, jak połowa dachu... Teraz rysowałem dom na piasku. Ściany. Drzwi. Dwa okna. Dach. Komin. Dym... Nagła refleksja. Dwa, trzy ruchy patykiem. Nie ma już domu... Cyściutki, suchy piasek syczał cichutko łącząc grudkę z grudką... Uważny wzrok Ewy. Kiedy spojrzałem na nią, jakby zmieszana, odwróciła głowę i udawała, że coś tam majstruje przy błyskawicznym zamku u kurtki... Nie musiałem zgadywać, o czym myślała, kiedy tak gwałtownie zacząłem przekreślać kontury rysowanego na piasku... domu.

— Jak długo jesteście małżeństwem? — spytała.

— Marek jest młodszy od ciebie o pięć lat.

— Dobrze wam było razem?

— Dobrze... Szczęśliwie, dobrze było... Nie mam jej nic do zarzucenia. Odwrotnie. Wiele, bardzo wiele jej zawdzięczam... Ona zawsze była ze mną...

— Nie mów o własnej żonie: ona...

— Wiesz... To jest bardzo dobra, porządna dziewczyna... Zawsze była ze mną... A przecież różnie było: bieda i choroby, służba ciężka i nerwy nie takie jak trzeba. Dla mnie zrezygnowała, musiała rezygnować z wielu własnych planów... Przenosiła się z jednego krańca Polski na drugi.

— Urodziła ci syna...

— Urodziła mi syna... Dlatego tak mi ciężko...

— Dom: Masz prawdziwy dom... Nie z piasku...

— Zauważyłaś?

— Myślałam... I myślę... I mam diabelne wyrzuty sumienia...

— O co? Dlaczego właśnie ty?

— Dlatego chociażby, że jestem tu z tobą... Rozmawiamy o tym... O to, że cię bardzo lubię... Lubię z tobą rozmawiać, być... O to, że... Jesteś mi taki bliski... Romek, czy twoja żona domyśla się czegoś?

— Tak.

— Czego?

— Ona wie wszystko.

— Skąd?

— Powiedziałem jej to.

— Kiedy?

— Wtedy, kiedy leżałaś w szpitalu... Bo wówczas już zrozumiałem, pojąłem do bólu — jak bardzo cię kocham... Nie mogłem. Nie chciałem okłamywać Krystyny. Za bardzo ją szanuję...

— Jak zareagowała?

— Rozpłakała się... Musiałem jej to powiedzieć. Nie mogłem jej okłamywać. Nie mogłem trwać w obłudzie. Znosić pustki — jaką od pewnego czasu w sobie poczułem... Zresztą, ona już wcześniej domyślała się. Wiedziała nawet, że to jesteś ty...

— Skąd? Nic mi o tym nie mówiłeś?

— Leżałaś w szpitalu. Miałaś dość własnych kłopotów... Telefony.... Telefonowały jakieś baby od ciebie, ze szpitala... Anonimowo... Oczywiście. Z czystej „życzliwości".. Za pierwszym razem Krystyna rzuciła słuchawkę. Potem za drugim, trzecim. Ale telefony nie ustawały. I chyba po dziś dzień nie ustają. A z każdym dzwonkiem, mimo woli, wsączały jej się w uszy jakieś szczegóły...

— Co jej mówiły?

— A co mogły mówić? Że się spotykamy, jeździmy samochodem.

— To przecież prawda. Ale z tego jeszcze nic nie wynika! Ja z wieloma mężczyznami się spotykam, jeżdżę samochodami. No i co z tego?

— Tak, ale to ty wiesz... A one, te, „życzliwe" widzą to całkiem inaczej...

## ZBIGNIEW DOMINO

# KOCHANIE TY MOJE, KOCHANIE

— Co jeszcze tej dziewczynie nagadały?

— Daj spokój... Zresztą o czym takie plotkary mogą mówić, wiadomo...

— ...Że jestem kurwą, rozbijam małżeństwo... Wiem, wiem. Jaki ten świat jest podły! Jaki podły!... I co? Krystyna o nic cię nie pytała? Nie reagowała?

— Jak widzisz...

— Mądra, dumna dziewczyna.

— Dlatego żałuję... Dlatego teraz biję się z myślami, czy dobrze zrobiłem wyznając jej, że cię kocham... Zresztą ona mi to sama powiedziała. Powiedziała mi tak: „Słuchaj Romek, nie wiem, jak się to wszystko między nami skończy. Da się jeszcze coś naprawić, czy już nie. Ale zapamiętaj sobie na całe życie: nigdy nie mów kobiecie, która ciebie kocha, że ty kochasz inną. Po prostu, lepiej nie mów nic..."

— Tak... Ona cię kocha... A kochać, to zrozumieć i wiele, bardzo wiele — wybaczyć... Wiem coś na ten temat...

— No dobrze, ale czy miałem jej tego nie powiedzieć? Przecież jest to najbliższy mi człowiek, z którym przeżyłem więcej niż połowę mojego życia. Czy nie miałem prawa liczyć na to, że mnie zrozumie, że przynajmniej będzie usiłowała mnie zrozumieć?

— No i co? Zawiodłeś się na niej? Na pewno nie. Nawet awantury ci nie zrobiła. Nie zbiła mnie po pysku, ani nie narobiła skandalu. A przecież w końcu, ona broni swego... Tym bardziej przed taką kurwą jak ja, która niczego innego nie robi, tylko gania jak wściekła za chłopami, a do tego rozbija małżeństwa...

— Przestań gadać głupstwa!

— Głupstwa? Wiem doskonale, że po prostu nie chcesz mi powtórzyć tego wszystkiego, co te cholerne „życzliwe" babusy twojej żonie na mnie nagadały... Nie pierwszy raz mnie biorą na języki.. Dlatego wiem... Zaczęło się, gdy tylko przyszłam do szpitala. Od pierwszego dnia czułam się jak oblepiona obmierzłymi polipami... Tylko czekały sensacji, z kim to pani doktor pójdzie do łóżka. I robiły wszystko, żeby mnie do niego zapakować. Zresztą chętnych, żeby do mojego łóżka wleźć, też nie brakowało... Tamto doniesienie, wtedy do prokuratury, ta komisja dyscyplinarna, wszystko ma swoje początki.... A jeszcze do tego ja sama dawałam tym szantrapom powody... Mylił ich, zwodził, mój sposób bycia. Ubiór. Żarty. A czasami z dziką premedytacją wygłaszane, szokujące maksymy w rodzaju: „Oj siostro, dzisiaj taka pogoda, że tylko dobry chłop w łóżku może mi nastrój poprawić". „Co też pani doktor mówi, hi, hi, hi!"... Nie mieściło im się w tych durnych łepetynach, że odpaliłam jednego czy drugiego pana doktora, czy nawet dyrektora, który uważał, że ma prawo zaliczyć kolejne nowe ciało, które pojawiło się na jego terenie, jego włościach. Myślałam, że się wścieknie, że go szlag trafi... Jak śledzono mnie, podglądano w internacie. „Nie mieszka w domu, z matką, tylko tutaj w internacie, bo tutaj może robić co chce. I robi, moja pani. Chłopów przyjmuje. Nago łazi..." No a potem pojawiłeś się ty... Omotała go ta kurwa... Jakże więc nie skorzystać z okazji i „życzliwie" nie zatelefonować, nie donieść żonie o tej latawicy... Nie, niczym mnie nie zaskoczyłeś. Domyślam się nawet, kim są te „życzliwe". Ale Krystyny mi szkoda.. Ładnie się musiała czuć, wysłuchując relacji, z kim to jej mąż się zadaje, jaką sobie znalazł kochankę. Tak, jak by w tym Mieście nie było porządnych dziewczyn...

— Przestań Ewa! Przestań, proszę! I wybacz mi, jeśli możesz, wybacz, że mimo woli wmontowałem cię w taką kabałę... To przecież ja zacząłem za tobą łazić, telefonować, namawiać na spotkania...

— Romek, nie traktuj mnie jak dzidziusia, albo głupią gęś. Co to, za rękę mnie do kawiarni wciągałeś? Albo do samochodu? Mogłam ci powiedzieć, tak jak wielu innym potrafiłam i potrafię... Ale ja ci niczego takiego nie powiedziałam... Odwrotnie — spotkania z tobą sprawiały mi coraz większą radość. Mogłam się nareszcie komuś zwierzyć, z kimś życzliwym i bliskim porozmawiać... A to, że ucieszyłam się jak wariatka, kiedy dojrzałam cię na plaży... A to, że w tej chwili jesteśmy tutaj obydwoje, że rozmawiamy, że trzymasz mnie za rękę, a mnie jest z tobą dobrze... Przestańmy więc mówić o czyjejkolwiek winie. W końcu wszyscy jesteśmy dorośli... Ale wiem, że to nie zmienia faktów. Niestety...

Przyszła noc.. Stało się między nami to, co się stać mogło, ale przecież nie musiało. A jeśli już się stało — to szczęście nasze polegało na tym, że stało się właśnie tak, i że było takie naturalne, a przez to wielkie i niepowtarzalne w swojej prostocie, szczerości i pełnym oddaniu... Uczyliśmy się własnego ciała. Pieściłem jej włosy, szyję, uszy, nos, usta, piersi, ramiona, aksamitną płaszczyznę brzucha, smagłość ud, każdy palec i znamię na jej pięknym, młodym ciele. Tuliła się do mnie ufna, drżąca, ciepła. Jej oczy mówiły wszystko. Oczy! Oczy nigdy nie kłamią. Nawet spazm rozkoszy można udać, ale oczy zawsze powiedzą ci prawdę. Widziałem jak jej oczy, cudowne oliwkowe oczy, zwężały się, zachodziły wilgocią, jak rozszerzały się nagle, zdziwione i bezbronne, jak do łez poddawały się rozkoszy... To miał być ostatni nasz wieczór. Nazajutrz kończył mi się urlop. Długo siedzieliśmy w pokoju Ewy. Niełatwo nam było. Ewa kilka razy płakała. Była w fatalnym nastroju, ponad wszelkie wyobrażenie roztrzęsiona. Gnębiły ja nieustanne wyrzuty sumienia. Miała je zarówno w stosunku do Krystyny, jak i do... Wojtka. Snuła jakieś nierealne plany. Mówiła, że musi dokąd z Miasta wyjechać, że tak dalej być nie może. W pewnym momencie zaczęła mówić o samobójstwie. I znowu płakała. Miała pretensje sama do siebie, po co do mnie telefonowała. I do mnie, dlaczego tutaj przyjechałem. To znów żaliła się, że Wojtek o niej zapomniał, a ona go tak kocha... Nie mogła się opanować. Nie potrafiłem jej uspokoić. Chciałem odejść; raniutko miałem odjechać, a jeszcze nie byłem spakowany, ale bałem się zostawić ją w takim nastroju. Trzymałem jej dłonie, klęczałem przed nią siedzącą na tapczanie, dziękowałem jej za wszystko, za to szczęście, które mi dała i prosiłem, żeby niezależnie od tego jak się nasze losy dalej potoczą — żebyśmy pozostali przyjaciółmi. Milczała i swoim zwyczajem bawiła się moimi włosami. Uniosłem głowę i zobaczyłem łzy spływające po jej policzkach...

— Ewa! Miła moja!

— Posiwiałeś przeze mnie... Romek, Romek!

Nigdy dotąd nie całowaliśmy się z takim oddaniem i zachłannością. W szalonym zapamiętaniu splotły się nasze ciała. Moje ręce błądziły po jej szyi, gładziły spadziste, delikatne ramiona, plecy, biodra.

— Miła moja...

— Romek, Romek!...

— Kocham cię bardzo... Nie mów nic... Nie mów... — zamykałem jej usta pocałunkami. Czułem jak mi się rewanżuje. Czułem gorzkawy smak jej śliny. Widziałem jej oczy. Oddanie na twarzy, prężące się, dopasowujące się do mnie ciało...

— Kocham cię, Ewa! Kocham. Tak bardzo cię pragnę...

— Chcę, żebyś został ze mną... Chcę tego, chcę... Romek! Romek!...

— Miła moja!...

Rozbierałem ją jak umiałem i mogłem najdelikatniej. Bałem się brutalniejszym czy gwałtowniejszym ruchem spłoszyć uczucia i chwili, która miała nas we władaniu. Ewa poddawała mi się bezwolnie i ulegle. Pierwszy raz zobaczyłem jej ciało. Była piękna! Twarz. Rozchylone usta. Długa szyja. Spadziste, pięknie zarysowane ramiona. Jędrne nieduże piersi, z czerniejącymi, nabrzmiewającymi brodawkami. Gładki brzuch z delikatnym wgłębieniem pępowiny, trójkąt wzgórka łonowego, krągłe biodra, uda, toczone łydki, delikatne kostki i stopy małe, kształtne... Uczyliśmy się własnego ciała... Nagość nas nie tylko nie onieśmielała, ale czyniła śmielszymi, bardziej ufnymi i oddanymi sobie. Takiego w swej prostocie naturalnego stanu fizycznej fascynacji jeszcze dotąd nie przeżywałem. I wszystko między nami było tak naturalne. Nie krępowało. Nie wywoływało wstydu. Fascynowało!... Syciłem wzrok jej pięknem i naturalnością. Moje dłonie błądziły w pieszczocie po wszystkich najtajniejszych nawet zakamarkach jej wspaniałego ciała. Patrzyliśmy na siebie. Całowaliśmy się wzrokiem. Jej dłonie, małe, ciepłe i delikatne — były w pieszczocie czułe, ale nieśmiałe i niedoświadczone. Gładziły mnie po twarzy, przesuwały się po wargach, tuliły do szyi i ramion. Wiedziałem, czułem, byłem pewien, że Ewa gotowa była przyjąć mnie całkowicie już, teraz, w każdej sekundzie i w pełni. Ale zdawałem sobie także z tego sprawę, że ten stan trwającej i nasilającej czułości, wzajemnie dawanych i nasilających pieszczot — jest równie piękny, namiętny, a może nawet piękniejszy od samego aktu całkowitego spełnienia. Pieściliśmy się bez słów. Więcej niż najczulsze i najpiękniejsze słowa mówiły nasze pieszczoty, uściski, ciało, oczy i dłonie... Pochylam się nad nią. Jej wzrok krzyżuje się z moim. Spojrzenie przeszywa dreszczem rozkoszy. Oczy mówią wszystko!

— Cudo moje! — wraz z szeptem dotykam wargami jej małego ucha, szyi.

— Romek! Cudownie mi z tobą.. Boję się, Romek!...

— Miła moja. Kocham cię bardzo...

Jej dłonie sięgają moich skroni, przyciągają głowę do piersi. Tulę twarz między wezbranymi, gorącymi wzgórkami. Twardość jędrnej brodawki parzy wargi rozkoszą. Moja ręka niespokojna i drżąca, tonie niecierpliwie wzdłuż gorącego ciała, pieści dziewczęce łono, tonie w rozchylających się, wilgotnych udach... Przyjmuje mnie cała drżąca, rozpalona, namiętna, wijąca się, jęcząca i krzycząca z rozkoszy... Kocham! Wiem, że kocham ją do bólu, do łez. Wzajemne oddanie jest tak rozpaczliwie pełne, że w tym momencie świat mógłby przestać istnieć...

---

(Fragment powieści „Złota Pajęczyna", która ukaże się w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej).

Fot. W. Parys

# AWANS

## Dalszy ciąg ze str. 1

**instytucji kulturalnych, które chcielibyśmy powołać do życia. Obecne nie wystarczają już na potrzeby miasta wojewódzkiego. Z tym uporamy się jednak w najbliższej przyszłości. Do tej pory wiele już zrobiliśmy. O BWA, o plastyce była już mowa... Mamy bardzo rozwinięte czytelnictwo, rozbudowaną sieć bibliotek i punktów bibliotecznych. Pod tym względem zajmujemy czołową pozycję w kraju...**

**SIERADZANIE:** — U nas czyta się bardzo dużo książki cieszą się ogromnym powodzeniem. Ale to nic dziwnego, skoro nie bardzo można robić co innego. Chyba czasem iść do kina...

**Z. SOBCZAK: — W Sieradzu mamy dwa kina, w tym jedno pierwszej kategorii, co dla tak małego miasta w zupełności wystarcza. W kinie „Piast" repertuar jest taki, jak w innych miastach. Filmy zmieniamy co tydzień, czy dwa razy w tygodniu, zależnie od potrzeb. Drugie kino „Nysa" ma słabszy repertuar, bywa że czasem nieco przestarzały, ale to kino raczej dla młodzieży.**

**SIERADZANIE:** — Niekiedy można u nas obejrzeć jakiś interesujący, głośny film, ale niezbyt często. Nie mamy możliwości wyboru jak w innych miastach, jesteśmy skazani na łaskę i niełaskę dystrybucji. Bardzo przydałoby się kino studyjne, choćby o niewielkiej widowni; można by na to wygospodarować jakieś pomieszczenie, przynajmniej czasowo. Przydałaby się również stała sala teatralna, gdzie mogłyby systematycznie występować np. teatry łódzkie.

**Z. SOBCZAK: — Miasto jest małe i nie stać nas na utrzymywanie stałego teatru zawodowego, to nie miałoby zresztą sensu w naszych warunkach. Nastawiamy się więc na inne formy pracy z teatrem. Bliskość Łodzi pozwala na organizowanie częstych wycieczek do teatrów łódzkich, zwłaszcza wycieczek zbiorowych z zakładów pracy, szkół... Poza tym aktualnie remontujemy zabytkowy budynek z salą teatralną, gdzie już występowało dotąd wiele teatrów. Po remoncie i odpowiedniej adaptacji sali będziemy mogli organizować na miejscu występy teatrów zawodowych. Myślimy o ścisłej współpracy z teatrami łódzkimi a także, jeśli się uda, z innymi.**

**SIERADZANIE:** — Z muzyką w naszym mieście jest różnie, raz lepiej, raz gorzej. Nas już nie satysfakcjonują występy zespołów amatorskich, czy nawet zawodowych, ale nie najwyższej klasy. Zdarzają się występy dobrych muzyków, znanych artystów, ale to rzadkość, tylko przeważnie z okazji jakichś większych uroczystości. Dokucza brak zespołów rozrywkowych, koncertów dla młodzieży. Chyba w mieście wojewódzkim wreszcie warto by było mieć jakiś stały, dobry zespół zawodowy...

**Z. SOBCZAK: — Nie mamy wielkich sal koncertowych, na to zresztą miasto jest za małe, ale systematycznie organizujemy koncerty kameralne, np. w Muzeum, Bibliotece Wojewódzkiej, Domu Kultury. Od czerwca do września każdego roku organizujemy coniedzielne koncerty w amfiteatrze, nie tylko zespołów amatorskich, ale i zawodowych. Amfiteatr ma 2,5 tys. miejsc i zawsze jest szczelnie wypełniony. Adaptowaliśmy dla większych imprez Halę Sportowo-Widowiskową na 600 miejsc. Od kilku miesięcy działa u nas Sieradzkie Towarzystwo Muzyczne, organizujące muzyczne kształcenie dzieci i młodzieży w 9 społecznych ogniskach muzycznych. W przyszłości chcemy zorganizować stałą orkiestrę, prowadzić programową działalność koncertową dla całego województwa. Dla młodzieży chcemy urządzić dyskotekę. A teraz także nie jest źle. Nawiązaliśmy stałe kontakty z Estradą Łódzką, SPAM, „Pagartem". Powoli „rozkręcimy" tu naszą działalność, tym bardziej że warto, bo sieradzanie lubią muzykę...**

**SIERADZANIE:** — Sieradz jest nadal „wielką wsią", choć ambicje mamy wielkie. Jest tu grupa ludzi myślących, nie tylko rodowitych sieradzan, ale i przybyłych z zewnątrz. Owi „przybysze" wnieśli tu trochę ożywienia, szersze spojrzenie na sprawy kultury. W tej chwili organizujemy różne towarzystwa kulturalne, stowarzyszenia miłośników sztuki... Ale przecież taka działalność nie wystarcza. Amatorszczyzna jest dobra tylko do pewnego momentu. Dorywczo podejmowane akcje są z pewnością bardzo pożyteczne, ale mają zasadniczą wadę: są krótkotrwałe i mało efektywne, a tu przecież trzeba także myśleć o przyszłości. Potrzebne są działania systematyczne, długofalowe, przemyślane, oparte na faktycznej, fachowej wiedzy o naszych potrzebach. Z pewnością przydałoby się tu przeprowadzenie badań środowiska przez np.: psychologów, socjologów, kulturoznawców... Aby można było właściwie pracować nad tą naszą kulturą, zrobić coś dla faktycznej poprawy w naszym życiu kulturalnym, trzeba wiedzieć, „na czym się stoi", od czego zacząć, jak co robić...

**Z. SOBCZAK: — Nie jest u nas tak źle, jeśli idzie o życie kulturalne, o możliwości kulturalnej rozrywki... Ale prawdą jest, że wiele jeszcze musimy zrobić, aby rzeczywiście osiągnąć w naszej kulturze poziom i możliwości odpowiadające randze miasta wojewódzkiego. Sądzę, że już w niedalekiej przyszłości ten poziom osiągniemy...**

### W STRONĘ PRZYSZŁOŚCI

Owa „dyskusja" mogłaby trwać długo jeszcze, szkoda tylko, że w takiej wyimaginowanej postaci, bo przecież rzeczywista dyskusja „face to face", a nie za pośrednictwem dziennikarza, wydaje się bardzo potrzebna i to co rychlej. Jestem przekonany, że do takiej dyskusji dojdzie wkrótce. Nie sposób przewidzieć jej przebiegu i atmosfery, ale pożytki z niej mogą być wielkie i z pewnością będą. Awanse nie przychodzą łatwo. Jeśli prędko chce się je uzyskać, tym prędzej należy się zabrać do roboty, do solidnej, wytężonej pracy, bo wiele jest do zrobienia. Z pewnością nie jest tak źle, jakby na to mogły wskazywać opinie niektórych sieradzan, z pewnością także możliwości kulturalnej rozrywki, w miarę pełnego uczestnictwa we współczesnych zjawiskach kulturalnych nie są zbyt wielkie. Dobrze chociaż, że są duże ambicje, ale jak od dawna wiadomo, nie wystarczą same chęci... Póki co, z bogatych niegdyś tradycji kulturalnych Sieradza pozostała raczej uboga teraźniejszość, a wojewódzkim ambicjom towarzyszy wciąż jeszcze powiatowa rzeczywistość. Cóż, droga do awansu nie jest łatwa...

ZBIGNIEW S. NOWAK

# POROZUMIENIE

Władze województwa sieradzkiego opracowały szczegółowy plan rozwoju społeczno-gospodarczego i kulturalnego regionu. Powstał perspektywiczny program upowszechniania kultury jako stymulatora rozwoju innych dziedzin życia społeczno-gospodarczego.

Jesienią ub. roku Egzekutywa KW PZPR w Sieradzu na jednym z posiedzeń podjęła temat: „Ocena aktualnego stanu kultury w województwie sieradzkim i kierunki dalszego jej rozwoju do r. 1980". Wśród zadań przeznaczonych do realizacji w najbliższym czasie wiele miejsca i uwagi poświęcono upowszechnianiu sztuk plastycznych i literatury oraz stworzeniu jak najlepszych warunków dla rozwoju tych dziedzin i ich odbioru przez społeczeństwo Sieradzkiego. Przyjęto zasadę, że aby skutecznie realizować założony program, należy ściśle współdziałać na szerokiej płaszczyźnie ze związkami twórczymi: ZPAP i ZLP. Trzeba tu dodać, że związki plastyków i literatów z regionem sieradzkim mają już pewne tradycje. Obecnie opracowano szczegółowe zasady współuczestnictwa środowisk twórczych w rozwoju społeczno-gospodarczym i kulturalnym województwa sieradzkiego. W konsekwencji przyjętych założeń i takiego widzenia problematyki postanowiono charakter owego współuczestnictwa bardziej sformalizować i określić bliżej w ramach odpowiednich porozumień.

14 marca 1977 r. zostały podpisane porozumienia o współpracy pomiędzy Wojewódzką Radą Narodową w Sieradzu i łódzkimi oddziałami Związku Literatów Polskich oraz Związku Polskich Artystów Plastyków. Ze strony WRN porozumienie podpisał jej przewodniczący, I sekretarz KW PZPR w Sieradzu — **Tadeusz Stasiak**, a w imieniu związków twórczych prezes zarządu ZLP w Łodzi — **Jerzy Wawrzak** i prezes oddziału łódzkiego ZPAP, rektor PWSSP w Łodzi — doc. **Wiesław Garboliński.**

Przy okazji licznie przybyłym przedstawicielom władz kulturalnych z Warszawy, Łodzi i Sieradza oraz przedstawicielom środowisk twórczych zaprezentowano dwie ciekawe wystawy. Nowa wystawa malarstwa w sieradzkiej galerii Biura Wystaw Artystycznych, której otwarcia dokonał dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu — **Adam Fudała**, to plon pleneru, jaki odbył się latem ubiegłego roku w Sieradzu pt: „Województwo sieradzkie w malarstwie". Natomiast w salach Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej otwarto wystawę książek członków oddziału ZLP w Łodzi, zatytułowaną: „Nasi pisarze i ich książki".

Podpisanie wymienionych porozumień to z pewnością fakt niezmiernie znaczący w rozwoju życia kulturalnego w województwie sieradzkim. Nasuwa się tu jednak pewna refleksja. Owe porozumienia dotyczą współpracy regionu sieradzkiego z przedstawicielami świata sztuk plastycznych i literatury, z którymi to wcześniej już owa współpraca układała się bardzo dobrze. A co z innymi dziedzinami? To prawda, że nie sposób dokonać wszystkiego na raz, że od czegoś trzeba zacząć. Zaczęto od literatury i plastyki i to zaczęto bardzo dobrze. Obecnie należy koniecznie pójść dalej jeszcze tą drogą, która się już pozytywnie sprawdziła.

Z.S.N.



# KONFRONTACJE — CZĘŚĆ II

Drugi tydzień Konfrontacji. Gorszy czy lepszy niżeli pierwszy, wobec którego mieliśmy tak wiele zastrzeżeń? Lepszy! Bliższy temu, czego od Konfrontacji oczekiwać można. Lepszy, bo zaspokajający ciekawość, ciekawość różnego zresztą autoramentu.

Pokazano nam dwa filmy tych, na których nowe dzieła czeka się zawsze. Jeden z nich jest już dziełem ostatnim, to oczywiście „NIEWINNE" Luchina Viscontiego, pamięć o tym miała wpływ na jego odbiór. Po raz ostatni oglądaliśmy obrazy, jakie zrodziły się w wyobraźni artysty, który zbrodnię, grzech i namiętność silniejszą od wszelkich ludzkich i boskich praw czynił głównymi tematami swych filmów. Obrazy te są dziełem wyrafinowanego estety, który jak mało kto w, tak często zbyt funkcjonalnej, sztuce kina potrafił dać wyraz wysublimowanemu pięknu. Jak zawsze tak i w swym ostatnim dziele zachwycił nas cudownością barokowej kompozycji kadrów, grą barw, świateł i cieni, sensualnością rysunku ludzkich ciał, ale i przedmiotów. Zmysłowość obrazów Luchina Viscontiego przemówiła tak silnie już po raz ostatni, i odtąd możemy już tylko do jego filmów powracać. I nic to, że film ten nie zwieńczył dzieła życia w sposób najdoskonalszy. Doskonałość ta ma już dziś swój wymiar absolutny i tylko w kontekście całej twórczości można jej wartość smakować.

Drugi z filmów, o których tu mowa to „TWARZĄ W TWARZ" Ingmara Bergmana, film zrealizowany tuż przed skandalem, w efekcie którego najwybitniejszy przedstawiciel szwedzkiej sztuki współczesnej opuścił swój kraj. Ten artysta tak jak i Visconti pozostaje wierny ciągle tym samym tematom. Każdy jego kolejny film jest jeszcze jednym wariantem tych samych motywów, które określa problematyka egzystencjalna. Próba streszczenia każdego nowego filmu Bergmana sprowadza się do mówienia o poszukiwaniu sensu życia, które to poszukiwanie wyzwala się w obliczu samotności, śmierci czy choroby, o poszukiwaniu ratunku w drugim człowieku, o współzależności i konfliktowości uczuć egoizmu i miłości, cierpienia i szczęścia. Te motywy odnajdujemy zatem także w filmie „Twarzą w twarz". I tak jak zawsze w rozważaniach tych odnajdujemy nową tonację, nowy blask, bo ciągle nowi ludzie cierpią i kochają, są samotni i z samotności tej chcą się wyrwać. I tak jak zawsze u Bergmana film „Twarzą w twarz" dostarcza materiału do interpretacji i odczuć wielorakich. Jedno będzie jednakże wspólne — zachwyt dla kreacji Liv Ullmann. Ta wspaniała, a przecież jedna z wielu wspaniałych bergmanowskich aktorek, tu, wcielając się w postać przeżywającej kryzys swej tożsamości lekarki, osiągnęła już chyba górną granicę interpretacyjnych możliwości aktora.

Te dwa filmy zdominowały ten tydzień Konfrontacji, w którym zwracał też uwagę „MOCNY FERDYNAND" Aleksandra Kluge. Film ten reprezentuje to, co najciekawsze w nieciekawej kinematografii RFN. Akcenty krytyki społecznej i politycznej w filmie tym zawarte, a przedstawione w satyrycznej konwencji, nie bez kozery obdarowane zostały uwagą europejskiej publiczności, czego wyrazem jest liczaca się nagroda Fipresci uzyskana na MFF w Cannes. I choć trudno gustować w niemieckim poczuciu dowcipu, trudno przecenić społeczno-polityczną wartość tego satyrycznego wizerunku współczesnej RFN i jej obywateli.

Walor konfrontacyjny, a więc istotny dla omawianej tu imprezy, miał angielski film „OMEN", konfrontacyjny, bo pokazujący to, co serwuje się zachodniej publiczności spełniając pono jej zamówienie. „Omen" w reżyserii Richarda Donnera kontynuuje serię filmów rozpoczętą w Stanach Zjednoczonych „Egzorcysta". Dobrze, że film ten nam pokazano, bo zaspokojono ciekawość i raz na zawsze wyleczono z chęci oglądania filmów tego nurtu, będącego, jeśli sądzić z „Omenu", wykwitem umysłowego prymitywizmu, zboczonej wyobraźni i chęci odwoływania się do najgorszych gustów. Pomysły i chwyty w filmie tym zastosowane, a ubrane w szatę wszechkiczu przerażają. Przerażają, bo trudno uwierzyć, że ludzie mogą domagać się tego typu bzdurnych opowieści i bodźców płynących z ekranu. Pozwalam sobie wyrazić nadzieję, że film ten na ekrany nasze nie zostanie zakupiony, bo obrażałoby to naszą publiczność.

Ilia Awerbach, reżyser przejmującego „Monologu", tym razem pokazał nam „CUDZE LISTY". Nie jest to film klasy pierwszego. Dostarcza jednak przeżyć, które osobiście cenię bardzo wysoko. Bogaty rysunek obyczajowy i treści moralne tej opowieści o dojrzewającej dziewczynie i jej nauczycielce, wsparte przy tym świetnym aktorstwem, stanowią bezsprzeczne walory „Cudzych listów", filmu, w którym smutki życia i jego radości znajdują tak charakterystyczny dla wielu radzieckich filmów obraz humanistycznej wiary w dobroć i siłę człowieka.

Przyjmując, że recenzent też człowiek, wyznać muszę, że nie spełniłam swego obowiązku do końca, nie obejrzałam w tym tygodniu dwóch filmów „Konfrontacji": węgierskiej „PIĄTEJ PIECZĘCI" Zoltana Fabriego i „BEETHOVENA" Horsta Seemanna z NRD. O pozostałych filmach „Konfrontacji" uwag kilka za tydzień.

EWA NURCZYŃSKA

# W STRYKOWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

## Stryków, godzina 14,50

Niewielki budyneczek Gminnego Ośrodka Propagandy i Kultury ze schludnie utrzymaną salką na 200 miejsc i mini-scenką. Dookoła leniwy spokój sytego, niedzielnego popołudnia. Drewniane domki, przed nimi odświętnie ubrane rodziny grzeją się w promieniach pierwszego, wiosennego słońca. Na rogu Restauracja „Pod Jeleniem", w której mężczyźni spokojnie wypijają swe pobiednie piwo. Wszystko to w granicach miejskiego województwa łódzkiego, kilkanaście kilometrów od centrum „metropolii", przy ruchliwym szlaku komunikacyjnym, a tak bardzo inaczej i jakby o wiele dalej od samej „metropolii".

Aktorzy rozchodzą się na krótki spacer — mają jeszcze sporo czasu. Ten spokój zaczyna drążyć mnie wątpliwościami: Czy to się uda? W tę idylliczną porę sjesty małego miasteczka ma wtargnąć Sławomir Mrożek ze swym niepokojem. Kto na niego czeka? Zadaję pytanie organizatorowi widowni, na jakiego widza liczą? Okazuje się, że bilety już dużo wcześniej zostały rozprowadzone wśród pracowników miejscowych zakładów pracy, w komplecie. Trochę lżej. Nikt jednak nie przewidział na dzisiaj takiej pogody.

Jak zwykle, gdy się coś dzieje, na miejscu zdarzeń są już dzieci. Pytają pracowników technicznych, ustawiających dekoracje — „czy będą bajki?" i odchodzą bardzo zawiedzione. Któryś z aktorów stwierdza, że dzieci to najwdzięczniejsza publiczność, dająca najwięcej satysfakcji, gdy dorosłe pokolenie zmanierowane jest coraz bardziej programem telewizyjnym. Ktoś inny dodaje, że odczuwa się wielką, niewypełnioną lukę w edukacji teatralnej — jednym słowem brak jest teatrów grających dla widzów w wieku od czternastu do osiemnastu lat. Ktoś inny dodaje, że odbija się to ujemnym skutkiem na kontakcie ludzi dorosłych z teatrem. W tych niezobowiązujących rozmowach wyraźnie wyczuwa się troskę o stan poziomu kulturalnego społeczeństwa, od którego również zależeć będzie przyszłość naszego teatru. Właśnie — n a s z e g o. To też się daje odczuć i mimo wielu rozbieżności zdań i różnorodności poglądów, jest coś co tych ludzi jednoczy. Tym wspólnym mianownikiem jest potrzeba uznania społecznego połączona z wielką powagą zawodową.

## Stryków, godzina 15,30

Za pół godziny ma się zacząć spektakl. Wszyscy już w garderobie, na swoich prowizorycznych, na dziś, miejscach. Obłożeni kolorowymi kredkami, szminkami, zarostami i perukami. Ta pora, przed trzecim dzwonkiem, w zbiorowej garderobie, jest wypełniona atmosferą nie do określenia — podniosłość zmieszana z codziennością, radość tworzenia ze zwyczajną bytową troską. Notuję strzępy rozmów:

— **Ze sceną jest tak: że zmieści się tylko drabina na środku i ławka dla chłopów. Będziemy się obijać o siebie. Żadnych sytuacji zrobić nie można, niestety** — mówi asystent reżysera Euzebiusz Olszewski, pełniący jednocześnie w terenie funkcję opiekuna sztuki.

— I co w związku z tym zrobicie? — pytam.

— **W związku z tym... będziemy grać** — pada zdecydowane stwierdzenie.

— Z przyjemnością będziecie grać? — nie daję za wygraną.

— **Jesteśmy w sytuacji bez wyjścia, w związku z tym musimy wszystko zrobić, żeby przedstawienie miało pełną, artystyczną wartość.**

— **Od sześciu lat nie graliśmy tutaj** — mówi Tadeusz Kożusznik, człowiek-historia Teatru Ziemi Łódzkiej — **więc tym bardziej zależy nam na dzisiejszym przedstawieniu.**

Zaczynają nadchodzić pierwsi widzowie. A jednak są. Wbrew spacerowej pogodzie, wbrew niedzielnemu lenistwu, na przekór popularnym solenizantkom. Wprawdzie nie są to tłumy, jednak napływają nieprzerwanie. Bardzo różni. Na przykład małżeństwo z kilkuletnią córeczką. To zaskakuje. Zadaję pytanie: — dlaczego z dzieckiem? Odpowiedź: — **Nie mamy z kim zostawić, a bardzo lubimy chodzić do teatru.**

— Ale czy to dziecko wytrzyma dwie godziny z jedną przerwą? — pytam niepewnie — to przecież nie jest bajka.

Na to odpowiada z uśmiechem mamusia: — **My wiemy, że to jest poważne przedstawienie, ale ona na pewno wytrzyma, jest grzeczna i też lubi teatr.**

A jednak istnieje coś takiego, co się określa mianem magii teatru. Wracam do garderoby. Właśnie przebrzmiał pierwszy dzwonek. Tutaj nadal trwa spór o warunki sceniczne, którego jądro tworzy dylemat: grać za wszelką cenę, wszędzie, czy też bardzo starannie selekcjonować sale i sceny? Temperatura sporu rośnie. Na uboczu tych zmagań, jeden z bardziej zasłużonych aktorów opowiada mi ciekawe zdarzenie sprzed kilku lat.

Pojechali z przedstawieniem do pewnej osady czy też miasteczka na peryferiach ówczesnego województwa łódzkiego. Po przyjeździe, na miejscu, okazało się, że instytucja wynajmująca salę nie dotrzymała żadnego punktu umowy. Zastano powybijane szyby, stos połamanych ławek i brudne pomieszczenie za sceną, wypełnione butelkami po wódce, bez żadnego sprzętu, przeznaczone na garderobę dla aktorów. Przenikliwy, jesienny wiatr wciskał się wszystkimi szparami. Scena nosiła wyraźne ślady gastrycznych sensacji uczestników odbywającej się tu przed tygodniem zabawy. W ciągu tygodnia nikt z miejscowych organizatorów nie zainteresował się, jakie zostały stworzone warunki dla przyjęcia teatru. Pracownicy techniczni, zanim zaczęli ustawiać dekoracje, musieli godzinę poświęcić na jakie takie doprowadzenie sceny do porządku. To jednak w niczym nie zmieniało zastanej sytuacji. Zespół stanął wobec konieczności podjęcia decyzji — grać czy nie grać? Oczywiście, nic nie wskazywało na możliwość zadecydowania: tak. Nikt nie mógł się oprzeć oburzeniu. Gdy tak zastanawiano się, co począć w tej sytuacji, powoli zaczęła się schodzić publiczność głównie kobiety zmęczone niełatwym życiem żony i matki pracowników miejscowego kombinatu budowlanego. Siadały otulone w płaszcze na brudnych ławkach i zastygały w oczekiwaniu. Powietrze wypełniło się parą oddechów. Tak zebrała się około stuosobowa grupa. Oni czekali, a w autokarze spór zamienił się w kłótnię czy też coś w rodzaju wiecu. W pewnym momencie ktoś zdecydowanie przerwał wrzawę: — **koledzy spójrzcie na te odświetnie ubrane kobiety, przecież one na nas czekają.** Rzeczywiście było to wrażenie niesamowite — odświętność stroju zderzona z brudem pomieszczenia w jakie został ten strój wkomponowany. I nad całym tym ohydnym śmietnikiem zadominowała jednak odświętność. Zderzenie paradoksalne, groteskowe niemal, będące jednak nie dającym się pominąć faktem. — **I wie pan, jak to się skończyło?** — zapytał, wstając ponaglony drugim dzwonkiem mój rozmówca. W tym momencie już wiedziałem, ale czekałem w milczeniu. W garderobie jakby przycichło.

— **I to jest właśnie demoralizacja** — odezwał się w ciszy głos któregoś z młodszych kolegów — **jak tak będziemy postępowali to nigdy nie wyjdziemy z jarmarcznej budy, a z tym się nie zgadzam...**

W tym momencie zabrzmiał trzeci dzwonek. Mała scenka zaludniła się postaciami z „Indyka", zaczęły się niby absurdalne Mrożkowe rozmowy o nieochocie i ochocie, jakże ciągle jeszcze aktualne.

## Stryków, godzina 16,30

Publiczność wychodzi na rozsłoneczniony placyk przed salą teatralną. Dogasa pomału wiosenne popołudnie. Próbuję nawiązać rozmowy. Dwóch chłopców w wieku przedpoborowym:

— Czy w Strykowie jest potrzebny teatr?

— **Tak. To zawsze jest coś innego. Jakaś rozrywka inna jest. Nie zawsze musi być tylko do śmiechu. Estrada czasem przyjeżdża, ale w teatrze to tu jestem pierwszy raz.**

— Czy do Łodzi jeździcie czasem do teatru? To tak blisko.

— **Raczej rzadko. Ja pracuję w Konstantynowie, a kolega chodzi do szkoły w Zgierzu, to tak jakoś nieporęcznie. Tu na miejscu to nawet pójdziemy z ciekawości.**

Młode małżeństwo:

— Czy państwa zdaniem jest tu potrzebny teatr na miejscu?

— **Bardzo. Mieszkamy i pracujemy tutaj, a w zimie to są tu bardzo długie wieczory. Do Łodzi jeździmy bardzo rzadko. Chociaż to tak blisko. Komunikacja nie jest dogodna.**

— Jest dziś śliczne, ciepłe, pierwsze naprawdę wiosenne popołudnie. Czy nie szkoda państwu tego dnia? Dlaczego właśnie wybraliście odizolowaną od tej słonecznej pogody, ciemną salę?

— **Ciepłych dni będzie jeszcze dużo, a kiedy znowu przyjedzie teatr, tego nie wiemy.**

— Czego życzylibyście państwo temu teatrowi z okazji zbliżającego się Międzynarodowego Dnia Teatru?

— **Udanych podróży i zadowolenia z nas — widzów.**

## Stryków, godzina 17,50

W garderobie zupełnie odmienna atmosfera niż przed przedstawieniem. Pośpieszne zmywanie szminki, odklejanie zarostów, zdejmowanie peruk — powrót do zwykłej codzienności. Powrót dziś wyjątkowo wczesny, zapowiadający normalny, rodzinny, niedzielny wieczór, do czego nie ma zbyt częstych okazji. Ten nastrój niecierpliwej krzątaniny rozbijam pytaniem, które na kilka minut przerywa czynności związane z „likwidacją warsztatu", pytaniem będącym przysłowiowym „kijem w mrowisko": — **Czy należy grać w Strykowie?** Spada lawina sprzecznych odpowiedzi:

— **Nie należy grać w takich warunkach jak w Strykowie. O wiele większy pożytek artystyczny byłby, gdyby tych ludzi dowieźć do Łodzi,**

**gdzie obejrzeliby spektakl w normalnych, optymalnych warunkach.**

— **Należy grać w Strykowie, ale w tym nowym domu kultury, który tu może kiedyś powstanie, a nawet jestem tego pewien, że musi powstać.**

— **W tych warunkach nie należy, bowiem pokazuje się tylko erzatz i nie wiem czy w tym zawiera się idea teatru dla wszystkich.**

— **Ja się z tym nie zgadzam. Teatr może zaistnieć wszędzie, w każdych warunkach i od nas tylko zależy to, czy zaistnieje naprawdę, autentycznie".**

Zaglądają dwie uczennice z tanimi notesikami na autografy. To rozładowuje trochę atmosferę. Jedni składają swe podpisy pośpiesznie i nieczytelnie, inni z powagą, dodając kilka słów od siebie. Po wyjściu uczennic powracamy do przerwanej dyskusji. Ścierają się poglądy. Na koniec **Marian Harasimowicz** dokonuje bardzo trafnego, moim zdaniem, podsumowania:

— **Teatr tego typu jak nasz, powinien wszędzie grać, tylko w tym celu powinien dysponować różnymi propozycjami repertuarowymi. Obok sztuk widowiskowych, rozbudowanych inscenizacyjnie powinniśmy dysponować pozycjami o charakterze kameralnym, małoobsadowymi, bez wielkich dekoracji i inscenizacyjnego rozmachu, które zmieściłyby się i na maleńkiej scence w Strykowie i dziesiątkach podobnych. Czy tu są inni ludzie niż w Kutnie, Radomsku lub Piotrkowie? I nieprawdą jest, że problem teatru w Strykowie załatwia bliskość Łodzi. Nie oszukujmy się?"**

Na koniec odbywam krótką rozmowę z dyrektorką Miejsko-Gminnego Ośrodka Propagandy i Kultury — **Danutą Florczak:**

— **Stryków pełni właściwie funkcję sypialni. Rano ludzie rozjeżdżają się w różne strony, głównie do Łodzi, do pracy i do szkół. My nie mamy tutaj nawet szkoły średniej. W takiej sytuacji dość trudno jest organizować życie kulturalne w naszym miasteczku, zachęcać do aktywnego uczestnictwa w działalności naszego Ośrodka Kultury. Ludzie są zmęczeni, ale mimo to chętnie przychodzą na nasze propozycje i ma to nawet oddźwięk w społeczeństwie. Z teatrem nie utrzymywaliśmy kontaktów już od dawna. Nie było żadnych warunków. Teraz stworzyliśmy warunki takie, na jakie było nas stać, bowiem na nową salę nie mamy co w najbliższym czasie liczyć. Czemu? Czy pan widział te walące się drewniaki w rynku? To wystarczy za odpowiedź. Niemniej jednak chcemy obecności teatru w naszym życiu. Wiem, że jest taka potrzeba i dlatego zdecydowaliśmy się na odnowienie stałych kontaktów z Teatrem Ziemi Łódzkiej. Będziemy się starali zapewniać przyjeżdżającym do nas aktorom jak najlepsze warunki, w miarę naszych skromnych możliwości.**

## W drodze powrotnej

Wieczór. Autokar szumi i kołysze. Nikt się już o nic nie spiera. Wszyscy zajęci swoimi, już osobistymi sprawami, kłopotami, myślami o domu i obowiązkach. Prowadzę spokojną rozmowę z **Tadeuszem Kożusznikiem**, najstarszym wiekiem i stażem aktorem w tym teatrze. Człowiekiem aktywnym, o wszechstronnych zainteresowaniach, między innymi autorem kilku sztuk teatralnych. W Teatrze Ziemi Łódzkiej jest od roku 1956 i stanowi jak gdyby żywą kronikę tej placówki. Słucham człowieka doświadczonego, który doskonale wie, co to trud objazdu:

— **Obsługujemy bardzo obszerny teren i dlatego jesteśmy w nim zbyt rzadko, aby liczyć na jakąś stałą, wyrobioną publiczność. Myślę, że byłoby z pożytkiem dla edukacji teatralnej społeczeństwa, aby również inne łódzkie teatry miały jakiś, chociaż niewielki, obowiązek objazdu. Kultura teatralna na tak zwanej prowincji wymaga starannej kultywacji, bo na przykład ostatnio w Zelowie pytam kilku młodych ludzi, czy byli na jakichś przedstawieniach naszego teatru, mówią, że tak, na trzech, a jakich, tego już sobie nie potrafią przypomnieć. Często spotykamy w terenie ludzi, którzy nigdy w życiu nie byli w teatrze. Wiele jest jeszcze ugorów i białych plam, nawet na mapie obecnego, niewielkiego województwa miejskiego. Podstawową sprawą jest stworzenie odpowiedniej bazy, a przynajmniej doprowadzenie do porządku już istniejącej. My się nie zrażamy skromnością warunków, ale nie chcemy też grać na „śmietnikach". Jednak trzeba przyznać, że praca w tym teatrze daje mi wiele zadowolenia i satysfakcji, wynikającej głównie z kontaktów z „czystym", nie zmanierowanym widzem, reagującym spontanicznie, nawet wtedy gdy wyraża swój protest wychodząc trzaskając drzwiami.**

Wjeżdżamy w granice wielkiego miasta. Kolorowe wystawy, neony, zatłoczone tramwaje — finał niedzielnych spotkań. Autokar pustoszeje. Jutro dzień wolny. Pojutrze nowa premiera. Dziś wyjątkowo wczesny powrót. To dobrze. Pani Krysia spokojnie, bez strachu dotrze do swego domu.

ANDRZEJ CZERNY

*Foto: W. Parys*

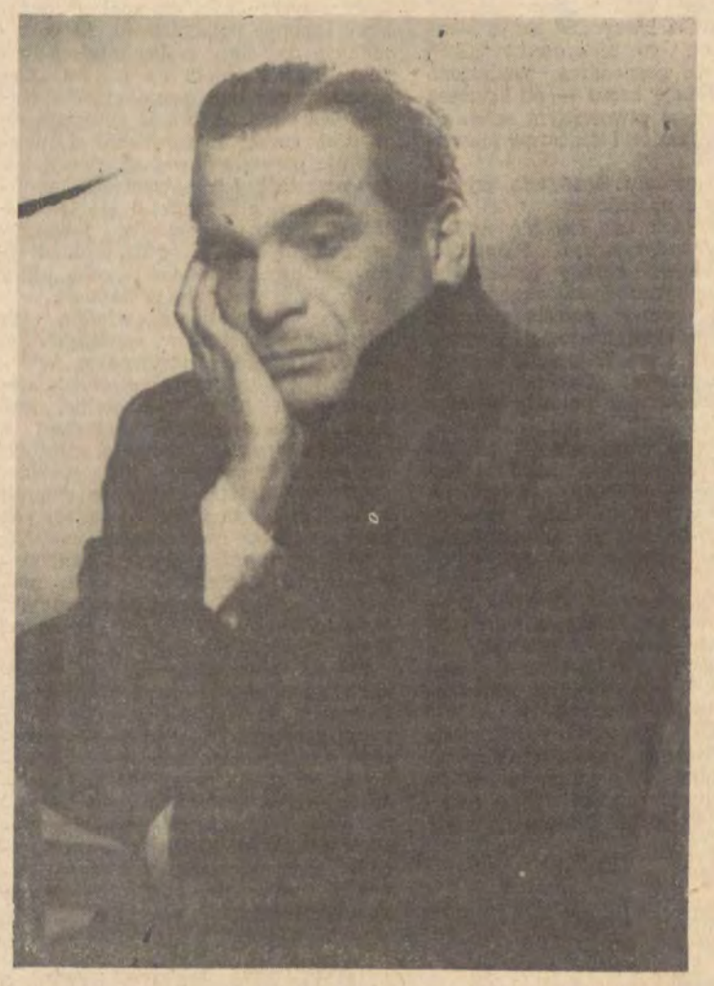

*Foto: Archiwum*

# LIST JACKA WOSZCZEROWICZA DO STANISŁAWA PAZURKIEWICZA

Warszawa, 24.V. 1959

Wielce Szanowny Panie Profesorze, list Pana z dn. 18.V. br. otrzymałem 23.V. i dziś odpisuję. Niestety listu Pana z połowy kwietnia nie otrzymałem.

W 1924 r. wstąpiłem do Instytutu Reduty w Warszawie. Jako materiał do ćwiczeń aktorskich (dialog, kontakt) Osterwa i M. Limanowski wybrali „Wesele" Wyspiańskiego akt I. Wszystkie role męskie znalazły się na warsztacie. E. Wierciński prowadził seminarium w oparciu o „Studium w Hamlecie". W tym czasie nauczyłem się kilku fragmentów ze Studium.

W 1925 r. na zakończenie roku studiów w Instytucie zespół przygotował akt I Wyzwolenia. Ja grałem Starca.

W 1925—7 Reduta przyjeżdża do Wilna, Grodna. W Weselu [1]) gram: Kubę, Kaspra, Staszka. W Wyzwoleniu [2]) najpierw jednego z „chóru" z kręgu Prezesa i Maskę 8, później Hołysza.

W 1927 na egzamin do ZASP-u przygotowałem Juklego z Sędziów, ulubioną moją rolę obok Makrota z Nocy listopadowej [— przekreślone przez J. W.]. W teatrze nigdy jej nie grałem.

W pierwszej połowie grudnia 1932 r. Ateneum przygotowało ku czci Wyspiańskiego spektakl [3]) składający się z I aktu Wyzwolenia i Sędziów. W Wyzwoleniu grałem Reżysera, a w Sędziach — jednego z sędziów, Nauczyciela.

W 1938 uczę się Makrota z Nocy listopadowej. Niestety nie gram [4]).

1939 — grudzień — Grodno. Aktorzy, którzy się tu znaleźli dają „Wieczór Słowa Polskiego" [5]). Mówię wtedy fragment z Wyzwolenia „Gdzieś przed siódmą wieczorem..." (18 wierszy) i fragmenty ze „Studium o Hamlecie".

1943 na jesieni powtarzam to na koncercie w szkole w Siedlcach.

1944 — w Lublinie w Teatrze Wojska Pol.[skiego] reżyseruję Wesele [6]) i gram Stańczyka (listopad).

1945 — styczeń gramy Wesele w Katowicach i Krakowie (w Krakowie zmiana obsady) [7]).

1945 — w Łodzi [8]) przybywają nowi aktorzy — zmiany w obsadzie ról; oprócz Stańczyka, kilka razy gram Dziada (w Łodzi).

1945 — 1 sierpnia rocznica powstania warszawskiego. Teatr Wojska daje spektakl „Barykady Warszawy" [9]). W montażu tym reżyseruję scenę pod pomnikiem Sobieskiego z Nocy listopadowej.

1956 — próbuję Makrota w Nocy listopadowej u Dejmka w Łodzi, ale nie dochodzi do mego występu, bo muszę wracać do Warszawy na próby z Kordiana [10]).

10.VI. 1957 — w T. Kameralnym — premiera „Studium o Hamlecie". Reżyseruję i inscenizuję, tekst Hamleta (postaci) mówi Gogolewski.

27.XI. 57 Powtarzamy spektakl w teatrze kieleckim u T. Byrskiego.

21.XII. 57 Powtarzamy w domu prywatnym [11]).

16.III. 1959 Powtarzamy spektakl u Byrskiego, tym razem w Teatrze Polskim w Poznaniu.

Gdyby Pana interesowały szczegóły inscenizacji wymienionych utworów, to gotów jestem służyć informacjami obszerniejszymi, jeśli mi pamięć dopisze — (Osterwa, Limanowski, Wiercińśki).

Łączę wyrazy głębokiego szacunku J. Woszczerowicz

adres mój
Jacek Woszczerowicz
Warszawa 12
ul. Racławicka 28 m. 1.
tel. 4-86-29

PRZYPISY

1. Prem. odbyła się w Wilnie w teatrze na Pohulance 19.I. 1926, reż. Juliusz Osterwa, scen. Iwo Gall; spektakl grano tam 12 razy. Wesele znalazło się wcześniej w repertuarze dwóch objazdów Reduty: I — Suwałki, Ryga, Dźwińsk, Rzeżyca, II — Kowel, Łuck. Trudno dziś ustalić, w których przedstawieniach brał udział Woszczerowicz.

2. Prem. w Wilnie w teatrze na Pohulance 23.XII. 1925, reż. Juliusz Osterwa, scen. Iwo Gall. W latach 1925—27 spektakl powtórzono 11 razy. Z pewnością Woszczerowicz nie brał udziału we wszystkich przedstawieniach.

3. Teatr Nowe Ateneum w Warszawie, „Sędziowie" (grano łącznie z fragmentami „Wyzwolenia" oraz „Hamleta" w montażu scenicznym pt. „Konrad — Hamlet". Prem. 12.XII. 1932, reż. Stanisława Perzanowska, scen. Wincenty Drabik.

4. Mowa tu o spektaklu Teatru Polskiego w Warszawie, którego prem. odbyła się 31.III. 1938 w insc. i reż. Aleksandra Węgierki, z dek. Stanisława Śliwińskiego, kost. Zofii Węgierkowej, Makrota zagrał Józef Kondrat.

5. Spektakl zatytułowany był „Rozmowy poetów polskich i Szekspira". Oprac. lit. Leonia Jabłonkówna, reż. Aleksander Węgierko. Na ów montaż złożyły się fragmenty utworów Szekspira (trzy monologi z „Hamleta"), Słowackiego, Norwida („Promethidion"), Wyspiańskiego („Wyzwolenie"), Rostworowskiego („Kaligula") Słowo wiążące stanowiły wybrane teksty ze „Studium o Hamlecie", które recytował Jacek Woszczerowicz.

6. Prem. 29.XI. 1944, scen. Stanisław Teisseyre.

7. Nie styczeń, a luty. Prem. „Wesela" odbyła się w Teatrze J. Słowackiego w Krakowie, 6.II. 1945, zaś w Teatrze Śląskim im. S. Wyspiańskiego w Katowicach 22.II. 1945.

8. Prem. 22.III. 1945 w gmachu teatru przy ul. Cegielnianej 27.

9. „Barykady Warszawy", montaż poetycki w trzech częściach. Prem. 2.VIII. 1945, reż. całości Jan Kreczmar, reż. I cz. Leonia Jabłonkówna i Jacek Woszczerowicz, reż. II cz. Jan Kreczmar, reż. III cz. Dobiesław Damięcki, scen. Jan Rybkowski.

10. T. Nowy w Łodzi, prem. 19.I. 1956, reż. Kazimierz Dejmek, scen. Józef Rachwalski; w roli szpiega Makrota wystąpił Zygmunt Malawski.
Mowa o „Kordianie" wystawionym przez T. Narodowy w Warszawie, prem. 21.IV. 1956, reż. Erwin Axer, scen. Władysław Daszewski; Woszczerowicz zagrał tu Papieża.

11. W mieszkaniu dr Haliny Kotlickiej.

List ze zbiorów Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego w Łodzi rps. 5079.

Adresat: STANISŁAW PAZURKIEWICZ (22.V. 1894 Wojnicz-Zamość — 5.IV. 1964 Łódź), dr nauk humanistycznych, filolog, poliglota (władał trzynastoma językami), znawca i tłumacz literatury rosyjskiej, węgierskiej, skandynawskiej, iberoamerykańskiej, współpracownik czasopism, po 1945 nauczyciel języka polskiego w łódzkich liceach, kolekcjoner autografów.

W zbiorze Pazurkiewicza, który obecnie jest własnością Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego, znajduje się korespondencja ze znanymi ludźmi jego epoki — uczonymi, dziennikarzami, a zwłaszcza z pisarzami, nie tylko polskimi, ale i obcymi (m.in. z Albertem Moravią, Tomaszem Mannem, Ivo Andrićem). Listy ludzi teatru stanowią w owej kolekcji rzadkość. Zawiera ona jedynie bodaj — poza cytowanym — korespondencję od Iwo Galla i autograf Ludwika Solskiego.

List Woszczerowicza jest odpowiedzią na pytanie dotyczące miejsca Wyspiańskiego w dorobku scenicznym aktora. Szczegóły w nim podane są o tyle cenniejsze, iż wyczerpująco informują o przebiegu jego pracy nad utworami autora „WESELA". Tak się bowiem złożyło, że po 16.III. 1959 Woszczerowicz nie inscenizował, nie reżyserował, ani też nie grał w żadnym dramacie Wyspiańskiego. Opracował jedynie na nowo, tym razem dla radia „STUDIUM O HAMLECIE".

Tekst „STUDIUM" stanowił dlań źródło inspiracji twórczej w czasie scenicznej wędrówki. Egzemplarz, który towarzyszył aktorowi przez całe życie, został złożony obok niego w grobowcu.

Informacji dotyczących adresata listu udzielił mi Pan mgr Jerzy Andrzejewski, któremu składam serdeczne podziękowanie.

Podała do druku, notą i przypisami opatrzyła
GRAŻYNA KOMPEL

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

# FRASZKI TEATRALNE

**CAŁY ŚWIAT GRA KOMEDIĘ...**
Totus mundus agit histrionem.
Jako amator? Czy z dyplomem!?

**NIE OD SŁOWACKIEGO...**
Nie od Słowackiego i nie z BALLADYNY
znane są metody wpuszczania w maliny.

**WOJNY TROJAŃSKIEJ NIE BĘDZIE...**
Dzisiejsze Heleny
nie warte tej ceny.

**ILOŚĆ PRZECHODZI W JAKOŚĆ...**
Królewiczow grał w bajkach. Więc dziś w wieku kwiecie
myśli, że podoła królowi... w HAMLECIE!

**Z GRIBOJEDOWA...**
I mądremu biada
gdy za dużo gada.

**PORWANIE SABINEK...**
Dżentelmen nie da poznać nigdy po swej minie
gdy wypadnie mu porwać najbrzydszą z Sabinek...

**SEN NOCY LETNIEJ...**
Sex, wolność i postęp!
Czasem trzeba z osłem.

**JAŚNIE PAN NIKT...**
Choć grób całkiem świeży,
to nikt w nim nie leży.

**THE TRAGEDY OF KINF LEAR...**
Gdy zawodzi lira
nie grajcie Szekspira!

**ŚWIĘTA JOANNA**
Jak niepyszny poszedł między męczenniki,
choć wyrzekł się głosów... Publicznej krytyki!

**KOMEDIA OMYŁEK**
Gdy po nominacji następuje schyłek
wszyscy grają zgodnie KOMEDIĘ OMYŁEK.

**O SOBIE SAMYM DO POTOMNOŚCI...**
Kawał pod—LECA?
Się polecam!

**Z HANSA FALLADY...**
Każdy umiera w samotności? Ślicznie.
Ja znam jednego co konał publicznie.

# AKTOR I LALKA

**Mówią Maria i Ryszard Sikorscy — aktorzy Państwowego Teatru Lalek „Arlekin"**

**Panuje powszechne przekonanie, że teatr lalek przeznaczony jest dla najmłodszego widza. Taką zawężoną funkcję teatru lalkowego wyznaczyły lata powojenne. Wtedy bowiem teatr stał się ważnym narzędziem w procesie wychowania dziecka. Trudny był ten pionierski okres. Brak było zespołów aktorskich, reżyserów, zespołów pomocniczych i wreszcie — sal teatralnych. Pozwolicie Państwo, że naszą rozmowę zacznę od dosyć stereotypowego pytania: dlaczego teatr lalek?**

— Jan Brzechwa, którego nazwisko nierozłącznie związane jest z literaturą dziecięcą, powiedział kiedyś, że pierwszym pytaniem, które padało podczas przeprowadzanych z nim rozmów było: Dlaczego pisze pan dla dzieci? I dodawał — nikt nie pyta moich kolegów dlaczego piszą dla dorosłych?

**— Praca aktora-lalkarza jest bardzo wyczerpująca i trochę niewdzięczna poprzez swoją anonimowość.**

— Mieliśmy propozycje przejścia do dramatu, do teatru w Kaliszu i Częstochowie. Świadomie odrzuciłem te możliwości. Niektórzy moi koledzy z tego skorzystali...

**— Na przykład?**

— Chociażby Wacław Kowalski, z którym pracowałem w teatrze „Pinokio".

— W momencie kiedy zaczynaliśmy pracę, w teatrze lalkowym widywało się świetne realizacje przedstawień i znakomitych ludzi. Do dziś pamiętam Irenę Winiarską i Marię Kubicką-Narkiewicz.

**— Zaczynaliście Państwo w różnych teatrach?**

— Tak. Ja, w teatrze „Pinokio". To był rok 1948. Moja żona, w „Arlekinie" rok później. Od 1951 roku pracowaliśmy już razem — w „Arlekinie", z którym jesteśmy związani do chwili obecnej. To były trudne czasy, ale z jaką sympatią człowiek je wspomina! Musieliśmy robić wszystko. Pamiętam, jak dyrektor Janicowa trzymała moją lalkę, ja w tym samym czasie podawałem tekst i spełniałem równocześnie funkcję elektryka.

— Potrafiliśmy sobie pomagać i to było fajne.

**— Długoletni staż pracy pozwolił Państwu uczestniczyć w pewnych metamorfozach, które dokonywały się w obrębie teatru lalek poprzez lata.**

— Tak. Jest to zjawisko normalne. Wszystko musi ulegać pewnym przeobrażeniom, jeżeli ma być żywe. Teatr musi wychodzić widzowi naprzeciw. Musi spełniać dziecięce marzenia i pomagać w rozwiązywaniu problemów. Musi spełniać wielorakie funkcje.

— Teatr zmienia się wraz ze społeczeństwem. Jest wyrazem zapotrzebowania społecznego. W rozwoju teatru lalkowego, najwyraźniej pod względem jednorodności stylistycznej, rysuje się okres realizmu. Odnotowujemy co prawda i później szereg wybitnych przedstawień, ale epatowanie widza formą gubi jak gdyby ideę naczelną, dla której przede wszystkim teatr lalkowy istnieje.

— Nie wydaje mi się możliwe, żeby dziecko w chwili obecnej z takim samym zainteresowaniem obejrzało np. „Niebieskie migdały", z jakim oglądało je przed wielu laty. Istnieje potrzeba innych wartości.

**— Już wkrótce na deskach teatru „Arlekin" zobaczymy głośną swego czasu sztukę Grzegorza Franta pt. „Sambo i lew". Przedstawienie to cieszyło się dużym powodzeniem wśród małych widzów. Od tego czasu upłynęło jednak sporo lat...**

— Ciekawa będzie taka konfrontacja. W repertuarze teatru znajdują się przecież sztuki, których problematyka jest ponadczasowa. Szkoda tylko, że jest ich tak mało.

— Chciałabym w tym momencie dotknąć trochę innej sprawy — plastyki w teatrze lalek. Jako jeden z elementów tworzących spektakl (dla niektórych jest to element najważniejszy) plastyka, z jej funkcją estetyczną, budzi moje ogromne wątpliwości. Być może, że spotykany czasami antyestetyzm jest właściwą formą edukacji. Bardzo żałuję, że zabrakło Wacława Kodka — prawdziwego artysty, dla którego dziecko było widzem ważnym. Ileż godzin potrafił spędzić Kodek w teatrze, żeby znaleźć formę przystającą do treści.

**— Które przedstawienia spotykają się z najżywszą reakcją widowni?**

— Te, które są oparte na motywach baśniowych. Mały widz lubi bajki.

— Nie jestem zwolenniczką częstego serwowania bajek. Częściej niż to robimy, powinniśmy przedstawiać problemy współczesne. Chciałabym widzieć na scenie lalkowej np. Niziurskiego. Niziurski zna bardzo dobrze psychikę dziecka. Wyraźnie odczuwamy brak nowych i wartościowych autorów. Rzadko się zdarza, żeby sztuki powstające obecnie, miały dobrą konstrukcję dramaturgiczną, nie wspomnę już o dobrze narysowanych postaciach.

**— Znam parę osób w Łodzi, których twórczość mogłaby urzeczywistnić Pani marzenia.**

— Z radością uchwycę się tej nadziei.

**— Mówiliśmy o przeobrażeniach, którym ulega teatr. W jaki sposób przeobrażenia te oddziaływały na warsztat aktorski?**

— Otrzymaliśmy dobre przygotowanie warsztatowe. Rzemiosła uczyliśmy się u Henryka Ryla. To była szkoła. Ryl był wymagający i surowy. Jak chwalił, to człowiek czuł się szczęśliwy. Miał dar wyzwalania inicjatyw.

— Trudny jest nasz zawód. Mnogość przydzielanych ról zmuszała nas do nadmiernego obciążania gardła. Ile razy musieliśmy grać wbrew swoim warunkom. Poza tym parawan jest barierą rozpraszającą głos. Musieliśmy zatem mówić bardzo głośno. Dzisiaj zmienił się sposób podawania tekstu. Dominuje przede wszystkim interpretacja, a nie zmiany głosowe. Czasami i dzisiaj słyszymy to „niedobre" aktorstwo, ale są to już resztki złych nawyków.

— W okresie realizmu dominował typ lalki — jawajki. Jest to konstrukcja, która wiernie naśladuje człowieka. Obecnie, często stosujemy kukiełkę, lalkę przekazującą ruch syntetyczny. Nie znaczy to, że zrezygnowaliśmy z innych rodzajów lalek. Pojawiają się bardzo różne konstrukcje, w zależności od potrzeb. Ulegają jednak pewnej zmianie proporcje ich stosowania.

**— Dużo czasu zabiera Wam przygotowanie roli. Czy przywiązujecie się do kreowanych przez siebie postaci?**

— Przywiązujemy się do roli w zależności od wkładanego w nią wysiłku. Każdy aktor ma role, które lubi mniej lub bardziej. Moje ulubione? Architekt w sztuce „Pan Tom buduje dom", Gdyk w „Jasiu Szpaku", Herman w „Dzielnym grodzie", von Kostryn w „Balladynie", Aladyn w „Cudownej lampie Aladyna".

**— A z nowszych?**

— Sołtys w „Kaczorze Kwaku", Kur w „Pieśni o lisie".

— Polubienie postaci w dużej mierze zależne jest od tekstu, od tego, jak napisana jest dana rola. Do dziś wspominam matkę z „Balladyny", nianię z „Dzikich łabędzi", czarownicę w „Awanturach z Łysej Góry".

— Przyjemność sprawia aktorowi fakt, że dziecko aprobuje postać, że się z nią identyfikuje. Dobrze jest także i wtedy, gdy widz protestuje. Nie zawsze przecież gramy postacie pozytywne. Liczy się reakcja publiczności.

— W siedzibie odbiór przedstawień jest chyba gorszy.

**— A może dziecko w dużych ośrodkach kulturalnych jest bardziej wymagające?**

— „Nowe szaty króla" miały dobre przyjęcie zarówno w siedzibie jak i w terenie. Tak samo było w przypadku sztuki K. Makuszyńskiego pt. „Szewc Kopytko i kaczor Kwak".

**— Pani Mario, wymieniając grane i lubiane przez siebie role pominęła Pani sympatycznego Kopytkę.**

— Rola ta wymaga ode mnie ogromnego wysiłku. Nigdy nie myślałam, że jestem tak silna fizycznie. Ogromna, ciężka maska i to zawrotne tempo... Szkoda, że sztuka nie jest grana na żywo. Nagranie jest śmiercią dla aktora.

**— Czy przygotowywała Pani role, które wspomina Pani niechętnie?**

— Owszem. Małpę w „Pieśni o lisie". Sądzę jednak, że błąd leżał w narysowaniu postaci. Nie znalazłam motywacji dla jej działania.

— Do zrobienia postaci konieczny jest materiał. Raz jeszcze wracam do mojego Kura. To była dobra rola. A czy dobrze zrobiona, to już inna sprawa.

**— A życzenia na przyszłość?**

— Chciałabym, żeby młodzi koledzy, którzy podejmują pracę w teatrze lalek, byli mu tak wierni, jak my... I żeby był to teatr przez duże T.

Rozmawiała
JADWIGA SĄCIŃSKA

## TELEWIZJA

# NIKT NIC NIE WIE

Czeski film **„Nikt nic nie wie"** był bodaj pierwszą okupacyjną komedią, jaka trafiła na polskie ekrany. Ani my, ani inni nie odważyli się kręcić komedii z tak ponurego i tragicznego okresu zaraz w pierwszych latach. Czesi się odważyli, ale też im było stosunkowo łatwo. Praskie powstanie trwało dwa czy trzy dni, miasto pozostało nietknięte i do dziś dnia pokazuje się jako osobliwość postrzelane okno piwnicy, gdzie schronili się jedyni bodaj prascy zamachowcy z alianckiej akcji „Antropoid".

Pamiętam, że komedia **„Nikt nic nie wie"** była w pierwszych powojennych latach swego rodzaju odkryciem dla nas — widzów z wojennego pokolenia. Po filmach pokazujących tragizm okupacji zobaczyliśmy również jej komizm. Ale był to specyficzny komizm zupełnie innej okupacji niż ta, której doświadczyliśmy w Polsce.

Oglądając tę komedię dziś w telewizyjnym cyklu **„Uśmiechy starego kina"**, dostrzegamy w niej więcej i nasz szacunek dla realizatorów wzrasta. W tym filmie, opartym na schematach międzywojennej gagowej komedii amerykańskiej, reżyser — acz delikatnie — pokazał pewne postawy. „Biją SA-mana" — woła tłum i natychmiast ludzie przypinają sobie wstążeczki o barwach narodowych, sądząc, że to powstanie. Za chwilę jednak okazuje się, że SA-mana „biją prywatnie", więc rozentuzjazmowany tłum szybko wraca do swoich zajęć. Bohaterem filmu jest czeski folksdojcz i dwu tramwajarzy, przypadkowo wplątanych w tę całą aferę. Potem ów ton w czeskim filmie zanika — rodzą się wielkie bitewne panoramy o czeskiej partyzantce. Myślę więc, że dobrze, iż telewizja przypomniała ten komediowy, lecz miejscami sarkastyczny obraz okupacyjnej Pragi — widzianej nazajutrz po wojnie.

Zresztą w ogóle filmy prezentowane w cyklach **„Uśmiechy starego kina"** czy **„Filmoteka arcydzieł"**, nie tylko przywołują pamięci stare obrazy, ale wzbogacają naszą wiedzę o bardzo pożyteczne refleksje na temat przemijania.

Program minionego tygodnia był szczególnie interesujący. Na pierwsze miejsce wysunął się oczywiście blok Naczelnej Redakcji Publicystyki Kulturalnej „Tylko w niedzielę". O spotkaniu z **Grzegorzem Królikiewiczem** pisać nie potrafię — było to widowisko rozegrane w sposób inteligentny i ze strony Królikiewicza pełen dobrej woli wyjaśnienia telewidzom swojego ideału sztuki filmowej. Tym razem artysta nie dał się sprowokować ani ponieść impulsom i całą swoją kwestię przeprowadził bardzo ujmująco — szczerze i rzeczowo. Bardzo dobry program — miejmy nadzieję, że zostanie powtórzony w nowym „Studio Bis".

I jeszcze parę słów na temat nowego programu „W kręgu anegdoty", poświęconego anegdocie aktorskiej. Wystąpił oczywiście etatowy anegdotczyk polskiego teatru **Igor Śmiałowski**, ale... Niestety, w zderzeniu z anegdotami braci **Damięckich, Lecha Ordona czy Zdzisława Leśniaka** wypadł bardzo, ale to bardzo blado. I to wcale nie dlatego, że opowiadał dowcipy, które znamy z tygodnika „Świat", z tygodnika „Odgłosy" (tak, tak!), z kilku wydań książek **Igora Śmiałowskiego**... Po prostu siłą anegdoty jest spontaniczność. Nie można jej recytować według uprzednio napisanego tekstu, bo nawet dobry aktor wpadnie w sztampę. Damięcki, Leśniak, Ordon — po prostu opowiadali wydarzenia zabawne, sami się tym przypomnieniem bawiąc. **Igor Śmiałowski** natomiast recytował kawałki ze swoich zbiorów.

Mimo wszystko jednak czekam z niecierpliwością na dalsze programy z cyklu **„W kręgu anegdoty"**. Pomysł jest niezły i jeśli tylko sztampa nie powali programu, będziemy mieli dobrą zabawę.

Na koniec kronika towarzyska. Pani **Danuta Szczerska** znów pojawiła się na szklanym ekranie. Tym razem wygłosiła referat na temat osiedlowej działalności k.o. Referat ilustrowany był na szczęście filmem. W drugim programie natomiast pojawiła się bardzo ładna spikerka o tajemniczym uśmiechu i fryzurze na Kleopatrę. Nazwiska spikerki, niestety, nie podano.

TELEMAN

## RELACJE

# ROMAN WŁODEK WIELKI SKOK...

**W lecie ub. roku, w Nicei, o czym zresztą szeroko informowała prasa, dokonano sensacyjnego włamania do banku. Kilka miesięcy później policja aresztowała organizatora włamania, który z wyzywającą szczerością powiedział, że połowę zagrabionego łupu przekazał pewnej międzynarodowej, skrajnie prawicowej organizacji. Wszystko wskazuje na to, że sprawa ta jest jednym z ogniw w całym łańcuchu faktów, świadczących o powiązaniach przeróżnych międzynarodowych ugrupowań nazistowskich i neofaszystowskich, które wiją sobie coraz nowe gniazda w wielu krajach Zachodniej Europy, cieszą się pobłażaniem władz, a nieraz nawet ich poparciem.**

Na międzynarodowy charakter działalności band kryminalistów wskazywałaby również informacja, zamieszczona kilka dni temu w lizbońskim tygodniku „Al Capital", że aresztowani niedawno w miejscowości Estoril, w Portugalii, dwaj Francuzi należą do międzynarodowej bandy specjalizującej się w grabieniu banków. Banda ta jest blisko powiązana ze skrajnie prawicową zbrojną organizacją pod nazwą „Brygada Chipendy", prowadzącą działalność dywersyjną w Angoli. W kołach policji politycznej w Lizbonie mówi się, iż obaj Francuzi wykonywali w Portugalii misję, zleconą im przez byłego członka francuskiej OAS, Ive Heren-Seracque'a, który obecnie jest „doradcą" tzw. „organizacji Wolnej Afryki", walczącej przeciwko popularyzacji socjalizmu na tym kontynencie. Kierował on działalnością prawicowo-ekstremistycznej agencji „Aginterpress" w Lizbonie, zlikwidowanej przez portugalskie władze wojskowe w 1974 roku. Wspomniana agencja miała zasięg międzynarodowy.

Warto na marginesie wspomnieć, że również sprawa zabójstwa sędziego Renau w Lyonie, o czym pisaliśmy niedawno w „Odgłosach", ma szerszy aspekt polityczny, a nici jej sięgają, być może, do międzynarodowych organizacji neofaszystowskich. Wszystko przemawia za tym, iż bandy kryminalistów są instrumentem zapewniającym organizacjom skrajnie prawicowym i neofaszystowskim środki na ich działalność polityczną.

Wiele interesujących szczegółów dotyczących tła i okoliczności „rabunku stulecia" w Nicei podają francuskie dzienniki „L'Humanité" i „Le Monde".

### LIPIEC, 1976 ROK

**W lipcu 1976 roku,** w Nicei banda rabusiów przez specjalnie zbudowany tunel włamała się do opancerzonej piwnicy banku „Societé General" i opróżniła 37 safesów. W ciągu dwóch „napiętych dni pracy" zrabowano i przetransportowano poza miasto banknoty, złoto, kosztowności i papiery wartościowe na ogólną sumę ponad 80 milionów franków. W ciągu dwóch następnych dni, o czym dowiedziano się później, uczestnicy tego przestępstwa — a było ich nie mniej niż dwudziestu — trudzili się w pocie czoła, segregując i przeliczając łup, a następnie dzieląc go między siebie.

W trzy i pół miesiąca później policja aresztowała herszta — „mózg" bandy — Alberta Spadgerie, a wraz z nim kilku statystów: techników najętych do realizacji podziemnego rajdu.

Gdy prasa, nie żałując farby, podawała coraz to nowe i nowe szczegóły tej jednej z najbardziej sensacyjnych grabieży w historii kryminalistyki, wielu ludzi, z pewnego rodzaju podziwem, mówiło o fantazji i inteligencji włamywaczy. Ale kiedy Spadgeriego umieszczono za kratkami i kiedy przyznał się do winy, podziw ustąpił miejsca prawdziwej trwodze. I nic dziwnego. Okazało się, że herszt bandy był dobrze widziany w radzie municypalnej Nicei (w merostwie, u steru władzy znajdują się przedstawiciele kół prawicowych na czele z Jacques'em Madsain, znanym ze skrajnie prawicowych poglądów). Działając na prawach nadwornego fotografa miał specjalne zezwolenie na wykonywanie zdjęć z okazji różnych oficjalnych ceremonii i pozostawał w bardzo zażyłych stosunkach z odpowiedzialnymi urzędnikami merostwa.

### KRYMINALNE EDUKACJE

W merostwie nie można było nie znać przeszłości **Alberta Spadgerie.** A właśnie biografia tego właściciela sklepu ze sprzętem fotograficznym powinna była wzbudzić zaniepokojenie ludzi dbających o swoją reputację. W 1949 roku, mając 17 lat, Spadgerie zniknął z domu, wałęsał się po Północnej Afryce i wreszcie, nie wiadomo w jaki sposób, znalazł się na Sycylii, gdzie zetknął się z młodym, ale znanym już angielskim faszystą, pułkownikiem Mosley'em. Ten szybko pozyskał go dla swoich idei. Obaj próbowali ofiarować swoje usługi znanemu w owym czasie sycylijskiemu bandycie Salvatore Giuliano. To właśnie on, w 1949 roku, zamordował w bestialski sposób dziesiątki sycylijskich małorolnych chłopów, w tej liczbie dzieci, kobiety i starców, zgromadzonych na placu miejskim w dniu święta 1 Maja.

Policja włoska aresztowała obu faszystów. Rok później Spadgerie wstępuje na ochotnika do francuskich wojsk spadochronowych i udaje się na wojnę do Indochin „gotowy na wszystko, byleby tylko ratować Europę przed czerwonymi hordami". Nie zdążył jednak zostać bohaterem: w 1954 roku francuski sąd wojskowy skazał go na cztery lata więzienia za ograbienie — w czasie jednej z kolejnych operacji pacyfikacyjnych — domu publicznego w Sajgonie.

Po odbyciu kary „Bert" (pseudonim Spadgeriego) znów wywędrował do Afryki. Początkowo kręcił się w Senegalu, a następnie prysnął do Algieru, gdzie został aktywnym członkiem OAS. Dwukrotnie, w latach 1961 i 1962, w tym raz w Paryżu, bierze udział w przygotowaniach do zamachu na życie gen. Gaulle'a. Spisek dwukrotnie spala na panewce. Spadgerie znów odsiaduje cztery lata więzienia.

W więzieniu wiele czyta, na przemian — prace filozoficzne, klasykę, poezję. Nabyta w więzieniu „kultura i ogłada" będą wywierać w przyszłości głębokie wrażenie na werbowanych przezeń kryminalistach. Będzie w ich oczach „intelektualistą służącym wyższym celom". Kiedy „wielka sprawa", tj. zamach na życie gen. de Gaulle'a, zakończyła się fiaskiem Spadgerie postanawia pomieszkać rok, dwa w Monachium, żeby „nauczyć się języka niemieckiego" i — jak ustalono to po aresztowaniu go — poznać bliżej pewnych ludzi, którzy nim mówią. Jego prawicowo-ekstremistyczne przekonania — jak powiedział to jeden z sędziów — z upływem lat nie tylko nie osłabły, lecz jeszcze bardziej okrzepły.

### ARSENAŁ W PIWNICY

Rewizja, którą przeprowadziła policja w mieszkaniu gangstera w Besodene, niedaleko Nicei, nie pozostawia najmniejszych wątpliwości, co do prawdziwych namiętności fotografa. Zwraca uwagę drewniana furta przed wejściem do jego prywatnej posiadłości. W ornament zdobiący furtę wkomponowano wyobrażenie swastyki, a w wyrzeźbionej w drzewie nazwie willi: „Szary Smok" dwie pierwsze litery „S" mają identyczny krój, co hitlerowskie „SS". W gabinecie gospodarza znaleziono bogatą kolekcję broni — od sztucera do kuszy, a w piwnicznym schowku ładunki dynamitu i mnóstwo amunicji.

Po aresztowaniu Spadgerie wyjaśnił sędziemu uprzejmie:

„Mój uczynek nie ma nic wspólnego z bandytyzmem. Pieniądze, które ukradłem zostały przekazane pewnej międzynarodowej organizacji, okazującej pomoc prześladowanym prawicowym ekstremistom, głównie w Portugalii i we Włoszech. Organizacja nosi nazwę „Catena" i jej właśnie przekazano połowę naszego łupu...".

Można mieć wątpliwości, co do wiarygodności adresu, pod który przekazano te miliony. Natomiast o wiele mniej wątpliwości wzbudza zamiar użycia ich do finansowania działalności elementów faszystowskich.

Należy przypomnieć, iż wiele głośnych włamań i grabieży, dokonanych w ostatnich czasach, wiąże się za każdym razem z nazwiskami członków skrajnie prawicowych organizacji. W trakcie śledztwa w czysto kryminalnych sprawach wykrywa się często udział to byłego OAS-owca, to najemnika — weterana wielu kontrrewolucyjnych operacji w Afryce i Azji, to znów członka jakiejś międzynarodowej organizacji neofaszystowskiej. Wszystkie te operacje mają na celu rabunek dużych sum pieniężnych.

Wiele ostatnich wydarzeń świadczy także o wyraźnej aktywizacji skrajnej prawicy, zmierzającej do umocnienia międzynarodowych powiązań. Madryt znów nabiera znaczenia jako centralny ośrodek koordynacji działalności przeróżnych organizacji, tworzonych w Zachodniej Europie pod egidą byłych SS-owców lub osób ściśle współpracujących z nazistami. Do prowadzenia podobnej działalności potrzebne są środki. Tym tłumaczy się niebywałe ożywienie kontaktów kół prawicowych ze światem kryminalnym.

### CIA REZYGNUJE Z USŁUG

W czasie, który upłynął między ograbieniem banku w Nicei a aresztowaniem Spadgeriego, on i jego żona zdążyli zobaczyć kawał świata. Po pierwsze udali się do USA, gdzie zamierzali nabyć restaurację i hotel. Czy doszło do tej transakcji — nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że były spadochroniarz próbował sprzedać swoje usługi Centralnej Agencji Informacyjnej. Zaproponował właściwym osobom tego urzędu ni mniej ni więcej, tylko wysadzenie w powietrze we Francji wszystkich „komunistycznych obiektów". Przedstawił przy tym, jako dowód prawdziwości swoich zamierzeń, doskonałe referencje. Amerykanie wyraźnie uznali Spadgeriego za faceta niespełna rozumu i na wszelki wypadek powiadomili o tej propozycji francuską służbę wywiadu.

Następnym celem podróży była Japonia. Stadło Spadgerie udało się tam nie samo, lecz w towarzystwie grupy, której przewodził sam Jasques Medsain, mer Nicei. Podróż organizował zarząd miejski, „dopasowując ją" do ekspozycji reklamowej pod nazwą „Lazurowe Wybrzeże", otwieranej w jednym z tokijskich domów towarowych. Jakiś kumpel z merostwa szepnął Spadgeriemu, że w samolocie pozostały wolne miejsca i ten spokojniutko wsiadł na pokład „Caravelle", taszcząc swoje ciężkie walizy. Nikt nie wątpił, iż znajduje się w nich sprzęt fotograficzny i nikomu nie przyszło nawet do głowy, żeby przejrzeć ich zawartość. Japońscy celnicy nie ośmielili się kontrolować bagażu Francuzów, towarzyszących osobistości oficjalnej. Bardzo możliwe, iż w ten sposób kilka sztab złota pozostało w Japonii.

Wszyscy doskonale wiedzą, że większość spośród tzw. zaufanych ludzi J. Medsaina, zarówno w merostwie, jak i w generalnej radzie departamentu Alpy Nadmorskie, jest jego uniwersyteckimi kolegami z wydziału prawa. „Dziwnym zbiegiem okoliczności" wszyscy oni podczas wojny w Algierze aktywnie działali w szeregach skrajnie prawicowych ugrupowań, w tym również w OAS, i byli gorącymi przeciwnikami niepodległości Algierii (nawiasem mówiąc adwokat Spadgeriego, niejaki Jacques Perrat, były spadochroniarz, cieszy się względami Medsaina).

Zresztą niewykluczone, iż Spadgerie, od niedawna członek Krajowej Federacji Republikanów, (jedna z partii rządzących), cieszył się poparciem ludzi jeszcze bardziej wpływowych. Mówi się na przykład, że kiedy rok temu prefektura departamentu Alpy Nadmorskie odmówiła byłemu członkowi OAS wydania paszportu zagranicznego, z Paryża nadeszło polecenie: „Prośbę pana Spadgerie załatwić pozytywnie...".

### GWIAZDA RADIA i TV

Zakorzenione na Lazurowym Wybrzeżu polityczne obyczaje sprzyjają tolerancji wobec kryminalistów, którzy cieszą się poparciem prawicy i paraliżują działalność policji. Albo nawet popychają ją do współudziału w przestępstwach. Nie zapomniano tutaj ani głośnej w 1973 roku sprawy dziesięciu policjantów — złodziei, którzy w ciągu kilku lat niekontrolowanej działalności zagarnęli dosłownie tony kosztowności, ani sprawy komisarza policji Henri Pernait, który wybudował sobie luksusową willę „dzięki wspaniałomyślnej hojności" magnata budowlanego, ani translokacji do oddalonych rejonów Francji, które od czasu do czasu nieoczekiwanie spadają na sędziów prowadzących delikatne sprawy. Mówi się też, że pewien adwokat musiał „dobrowolnie" ustąpić z rady municypalnej, kiedy spróbował zdemaskować oszusta, którego zażyłe stosunki z merem były wszystkim doskonale znane.

W Nicei dużo się buduje, głównie luksusowych hoteli. Kiedy w związku z tym trzeba zburzyć szkołę lub szpital — burzy się. Kiedy trzeba zniszczyć park, niszczy się...

Nicea jest miastem, w którym podczas ostatniej kampanii przedwyborczej na murach miasta widniały napisy: „Śmierć komunistom!". Poseł komunistyczny z Nicei, Virgil Barelle, wspomniał niedawno, że Lazurowe Wybrzeże stało się ulubionym azylem byłych SS-owców i przeróżnych neofaszystowskich grup. Czy wiedząc o tym wszystkim można się dziwić, że były najemny morderca, członek OAS i spadochroniarz (oddziały wyróżniające się w wojnach kolonialnych wyjątkowym okrucieństwem) czuł się w tym środowisku jak ryba w wodzie? Czy można się dziwić, że licznym wysoko postawionym osobistościom zamieszanym w ów „skok stulecia" nikt dotąd nie mąci spokoju, choć zostały rozpoznane? I czy można się również dziwić, iż wśród aresztowanych znajdują się głównie ludzie, których najął Spadgerie do „prac technicznych", podczas gdy przestępcy polityczni pozostali na wolności? A sam Spadgerie? Chociaż pozbawiony wolności, nadal uśmiecha się spokojnie, całym swoim zachowaniem dając do zrozumienia, że nie wątpi „w pomyślne zakończenie sprawy"?

Jednocześnie mieszkańcy Nicei są świadkami kampanii stylizacji tego zbrodniarza na bohatera dnia. Przestępców przedstawia się jako romantycznych poszukiwaczy przygód. A sam „mózg" operacji jest nieomal ideałem, wzorem do naśladowania. Prasa zamieszcza najdrobniejsze szczegóły o „uśmiechającym się, opanowanym człowieku, którego urok i rozum życzliwie doń usposobiły policjantów i urzędników sądowych". Po aresztowaniu, przez kilka kolejnych dni Spadgerie był gwiazdą radia i telewizji. Kamery telewizyjne następowały mu na pięty. Kiedy szedł do sędziego, kiedy szedł na miejsce przestępstwa, „gdzie oddawał się przyjemnym wspomnieniom o tej rabunkowej operacji", mikrofony dosłownie łowiły każde jego słowo, a kamery — każdy gest i każdy uśmiech. Już przepychają się do niego wydawcy — chcą kupić na pniu jego wspomnienia.

Włos się jeży.

# FORUM RADZIECKICH PISARZY

**Podobnie jak cały naród radziecki przygotowują się do uroczystych obchodów 60 rocznicy Rewolucji Październikowej pisarze radzieccy. Z tej okazji odbyło się ostatnio wszechzwiązkowe zgromadzenie przewodniczących organizacji pisarzy i redaktorów naczelnych wydawnictw literackich.**

**— Rocznica, której idziemy na spotkanie, bogaci w doświadczenia sześciu dziesięcioleci, stwarza szczególnie sprzyjającą atmosferę dla aktywnej, twórczej pracy zarówno organizacji pisarzy jak i dla prasy literackiej — stwierdził w swym wystąpieniu I sekretarz ZG ZP ZSRR Georgij Markow. — Naród, który codzienną pracą umacnia potęgę naszego państwa oczekuje od nas, pisarzy, afirmacji swego heroicznego trudu, ważkich słów o sile rewolucji socjalistycznej, o leninowskiej partii, o przyjaźni naszych narodów, stanowiących dla całego świata wzór zbratania w warunkach państwa wielonarodowego; wreszcie o zdobyczach postępu naukowo-technicznego i rozwoju mocy produkcyjnych kraju. W tym wielkim dziele każde środowisko twórcze, każde pismo ma niewyczerpane możliwości rozwijania inicjatyw i twórczych poszukiwań. Jest rzeczą niezwykle istotną, aby do tej pracy wciągnąć każdego pisarza, aby wykorzystać wszelkie dostępne formy zbliżenia ze sprawami całego narodu.**

**G. Markow wskazał również na istniejące jeszcze niedostatki w działalności organizacji pisarzy oraz czasopism literackich. Tu i ówdzie występują przypadki niedostatecznej współpracy między nimi, co w znacznym stopniu utrudnia efektywność ich pracy. Zwrócił także uwagę na bardzo istotny moment — braków w zakresie teoretycznego szkolenia zwłaszcza młodych pisarzy.**

**— Nie może być świadomy swych zadań socjalistyczny twórca — stwierdził G. Markow — który w niedostateczny sposób zorientowany jest w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej, jej głównych tendencjach, a przede wszystkim w złożonych problemach walki ideologicznej, wymierzonej nie tylko przeciwko ZSRR i krajom socjalistycznym, ale wszystkiemu, co postępowe.**

**Problemom pracy z młodzieżą poświęcił także swe wystąpienie Oleg Szestiński. Mówca podkreślił, że zarówno ZP ZSRR jak i Komsomoł prowadzą systematyczną pracę z młodzieżą literacką, m. in. organizują seminaria i spotkania, na których wybitni twórcy dzielą się z debiutantami swym doświadczeniem i wiedzą, poddając wnikliwej analizie ich pierwsze osiągnięcia. W ciągu najbliższych czterech lat odbywać się będą regularnie wszechzwiązkowe narady młodych prozaików, poetów, dramaturgów, publicystów i krytyków. Na uwagę zasługuje decyzja o utworzeniu nowego czasopisma, trybuny młodych p.n.: „Literaturnaja Uczeba" („Studia Literackie"), która w znaczym stopniu pomoże stawiającym pierwsze kroki autorom ukazać swe możliwości. Mówca podkreślił jednocześnie zasługi wydawnictw i czasopism literackich w lansowaniu młodych talentów. Np. Wydawnictwo „Mołodaja Gwardia" w ostatnich czterech latach zaprezentowała czytelnikom około 500 nowych autorów.**

**— Minęło pięć lat od ogłoszenia znamiennej uchwały KC KPZR o zadaniach krytyki literackiej — stwierdził m. in. w swym wystąpieniu Witalij Ozierow. — Z tej perspektywy można dziś stwierdzić, że i ta dziedzina ma na swym koncie sporo konkretnych osiągnięć. Pojawiło się wiele cennych prac, analizujących klasykę rosyjską i radziecką... Zbliżająca się rocznica skłania jednakże do refleksji, jak wiele jeszcze zadań stoi przed naszą krytyką w dziele ukazania całego ogromnego dorobku sześćdziesięciolecia. Wypełniliśmy „białe plamy" w literaturze lat dwudziestych, zbyt mało natomiast poświęciliśmy uwagi dziełom powstałym w latach trzydziestych, kiedy rozkwitał talent Szołochowa, Fiedina, Leonowa i innych wybitnych pisarzy.**

**Na forum wiele miejsca poświęcono sprawom kontaktów zagranicznych pisarzy radzieckich. Mówiąc o nich Nikołaj Fiedorenko podkreślił, że w kontaktach tych naczelne miejsce przypada współpracy z pisarzami krajów socjalistycznych, która z roku na rok rozszerza się i pogłębia. Np. w ub. roku w ZSRR przebywało 500 pisarzy z bratnich krajów, które z kolei odwiedziło 400 radzieckich twórców. Z innych przykładów mówca przytoczył wspólne inicjatywy m. in. wydawnicze w zakresie których wyróżnia się współpraca polsko-radziecka, poprzez opublikowanie dwujęzycznej „Księgi przyjaciół" oraz przygotowywanej obecnie edycji „Lenin i rewolucja w twórczości radzieckich i polskich pisarzy"; ukazała się także „Antologia polskiej poezji" wydana w języku białoruskim i wiele innych.**

U STÓP HIMALAJÓW

# W GÓRSKIM KRÓLESTWIE BHUTANU

**Współczesna cywilizacja, przenikając do najbardziej odległych zakątków naszej planety, nie ominęła także Bhutanu, niewielkiego państewka leżącego w Azji Środkowej, we wschodniej części Himalajów. W tym średniowiecznym królestwie o powierzchni 50 tys. kilometrów kwadratowych i liczącym około miliona mieszkańców, buduje się szosy, elektrownie wodne, zaczyna się rozwijać przemysł turystyczny. Będąc członkiem ONZ, niepodległy Bhutan wychodzi stopniowo na arenę międzynarodową.**

Mało już jest na świecie tak romantycznych i egzotycznych zakątków, jak w górskim królestwie Bhutanu. Era lotnictwa zaledwie musnęła tę maleńką monarchię. Istnieje tu tylko jeden jedyny pas startowy, jednakże samoloty mogą na nim lądować tylko w tych rzadkich dniach, kiedy okolicznych szczytów górskich nie zasnuwają gęste, bure chmury. Dlatego też podróżnik, który by się pragnął dostać do stolicy, miasta Thimphu, musi się zazwyczaj tłuc pół dnia jeepem z lotniska położonego na terytorium Indii do granicy Bhutanu, a później trząść się jeszcze cały dzień na krętych, górskich drogach.

Do dnia dzisiejszego ze szczególnych przywilejów korzysta w Bhutanu handel wymienny. Miejscowe pieniądze spotyka się tak rzadko, że reszty wydaje się kupującym plasterkami twardego sera, robionego z mleka jaków, nanizanych na długi włos z sierści tego zwierzęcia.

Na wysokich górskich pastwiskach srebrzy się śnieg i pasą się jaki, a w tropikalnych dżunglach buszują dzikie słonie i tygrysy.

Jednakże egzotyka jest tylko jedną stroną rzeczywistości współczesnego Bhutanu. Drugą są problemy, nad którymi głowią się przywódcy kraju. A są one bardzo istotne i trudne do rozwiązania. Każde co czwarte rodzące się dziecko umiera w ciągu pierwszego roku życia z powodu chorób przewodu pokarmowego, każde co trzecie dziecko nie dożywa piątego roku życia. Na okres nauki dzieci trzeba rozłączać z rodzicami. Kraj praktycznie nie ma wpływów walutowych, z wyjątkiem środków płynących z turystyki i sprzedaży znaczków pocztowych, kolekcjonowanych przez miłośników filatelistycznych osobliwości.

Rozwój turystyki rozpoczął się bardzo niedawno. I chociaż przyjeżdżającym udaje się obejrzeć zaledwie maleńką część tego malowniczego kraju, bo tylko doliny Thimphu i Paro, dokąd wozi się ich mikrobusami po wąskich, ale zupełnie znośnych drogach, płacą za to bardzo słono. Na przykład tygodniowy pobyt w Bhutanie kosztuje około tysiąca dolarów. Majestatyczne krajobrazy i gościnny naród tego kraju wywierają na turystach przyjemne wrażenie, co nie jest obojętne dla perspektyw rozwojowych przemysłu turystycznego.

Feudalna struktura państwa pozostaje w zasadzie nietknięta i dopiero teraz zaczyna ustępować miejsca stosunkom towarowo - pieniężnym. Wielcy posiadacze ziemscy dotąd mają własnych jubilerów i artystów, murarzy i cieśli, mają swoich chłopów i sługi, a także pastuchów pilnujących należące do nich stada jaków i bawołów.

Odległość między stolicą Bhutanu — Thimphu a miastem Taszigang na wschodzie — wynosi, na mapie, ok. 200 km. Ale, żeby odbyć podróż z jednego miasta do drugiego, trzeba przejechać jeepem co najmniej 750 kilometrów. Budowy szosy jeszcze nie zakończono. Droga wije się jak wąż między grzbietami potężnych masywów górskich, co paręset metrów przecinają ją burzliwe potoki. Prawie wszędzie towarzyszy podróżnikowi lub turyście szum toczącej się wody.

250 km na wschód od stolicy wznosi się twierdza Tongsa, gdzie niegdyś odbywała się wymiana towarów i ludzi między wschodnią a zachodnią częścią kraju. Z początku wiódł do niej zaledwie wąziutki trop, wciskał się do wnętrza twierdzy przez niewielkie wrota w zachodniej ścianie, przewijał się przez wszystkie wewnętrzne dziedzińce twierdzy, żeby wyjść na koniec przez wschodnie wrota.

W początkach XX stulecia emisariusz rządu brytyjskiego, John Claude Wight, jako pierwszy z przedstawicieli świata zachodniego, zainteresowany w badaniach Bhutanu, zwrócił uwagę, iż rejon Tongsa, dzięki rozumnemu kierownictwu władcy Ugien Wanczuka, w odróżnieniu od innych rejonów kraju, żyje bez wojen i w spokoju. W 1907 roku wiodący przedstawiciele buddyjskiego duchowieństwa oraz — w większości wrogo do siebie usposobieni — władcy oddzielnych rejonów postanowili stworzyć państwo monarchiczne na czele z Ugien Wanczukiem. Tak powstało królestwo Bhutanu i rozpoczęło się panowanie dynastii Wanczuków.

Dzisiejszym władcą kraju jest prawnuk jej założyciela. Teraz rejon Tongsa nie jest już ośrodkiem władzy państwowej. W twierdzy mieszkają tylko mnisi, którzy uchodzą za miejscowe świętości i trudnią się kopiowaniem świętych ksiąg, używając do tego celu tysięcy rzeźbionych w drewnie i w metalu form drukarskich.

Pewien podróżny zaobserwował, jak mnisi przygotowywali skomplikowane danie z ciasta i śmietankowego masła, przeznaczone dla kruków. „Wszystkie żywe istoty są święte — wyjaśnił jeden z mnichów — ale kruki szczególnie. Zabić kruka jest tak wielkim grzechem, jak zabicie tysiąca mnichów". Stosunek himalajskiego buddyzmu do pozbawienia życia istoty żywej jest jednym z najbardziej zadziwiających aspektów tej złożonej religii. Na przykład niechęć do zabijania jakiejkolwiek istoty żyjącej nie obejmuje świń. Najulubieńszym przysmakiem bogatych chłopów jest suszone mięso jaka, jednakże trudno by znaleźć wśród Bhotyjczyków (podstawowa grupa ludnościowa) choćby jednego, który by się zgodził zabić zwierzę. Grzech związany z zabijaniem powinien wziąć na siebie ktoś inny. Z reguły robią to muzułmanie, którzy uciekli z Tybetu. Chłopi jednakże jadają mięso nie częściej niż raz do roku, podstawowymi produktami żywnościowymi są bowiem: ryż, gryka, czerwony pieprz, suchary, jajka i herbata.

O jeden dzień drogi na wschód od Tongsa leży malownicza dolina Bhumthang, rozłożona w środku między stolicą a Taszigang. Taszigang — końcowy punkt szosy na wschodniej rubieży kraju — jest zupełnym przeciwieństwem odizolowanej od pozostałego świata doliny Bhumthang. Niegdyś uważano go za jeden z najrzadziej odwiedzanych zakątków na kuli ziemskiej. Tym bardziej więc zdumiewają wybrukowane ulice, elektrownia wodna wytwarzająca energię i światło dla miasta, szpital, szkoła i to, czego można się było najmniej spodziewać w kraju tradycyjnego handlu wymiennego — uliczkę, wzdłuż której, po obu jej stronach, rozłożyły się stragany i sklepiki.

Twierdza w Taszigang spełnia jeszcze dziś podobne funkcje, jak niegdyś twierdze średniowiecznej Europy. Na otaczających ją zboczach górskich usadowiły się osiedla chłopskie, w środku rozlokowały się władze miejskie i grupa mnichów. Podobnie jak ludność wiejska średniowiecza, okoliczni mieszkańcy Taszigang zbierają się co pewien czas na cienistych dziedzińcach twierdzy, żeby spotkać się z władzami lub zobaczyć wystawiane tutaj przedstawienia trwające nieraz po kilka dni. Artyści, ubrani w barwne szaty, przekazują językiem tańca starożytne legendy mieszkańców Himalajów, które głoszą o zwycięstwie dobra nad złem i o niebezpieczeństwach zagrażających człowiekowi. Jednocześnie z wykonywaniem rytualnych tańców występują ubrani w łachmany błaźni, parodiując każdy akt odbywającego się przedstawienia.

Na samej granicy z Tybetem, na wysokości ponad 4 tys. metrów n.p.m. rozciąga się teren łowiecki, położony dosłownie w cieniu dwóch ośnieżonych szczytów: Takaphu — 6600 m i Tungphu — 6900 m. Turystyczny pobyt w Lingszi można uważać za wydarzenie unikalne, w Bhutanie bowiem rzadko się spotyka ośnieżone szczyty: z reguły są one ukryte poza szczelną zasłoną szarych chmur. Tylko tutaj te dwa olbrzymy w srebrnych hełmach prezentują swój majestat od wschodu do zachodu słońca. Siedząc w Lingszi przy ognisku, w którym płoną gałęzie rododendronów, będące jedynym niemal rodzajem paliwa w tym bezleśnym rejonie omiatanym ostrym wichrem, warto podumać nad zawiłościami bhutańskiego kalendarza. Myśliwy Rinzin Dordżi mówi, że ma 32 lata, podczas gdy według europejskiego kalendarza ma 30 lat. „Ale — tłumaczy myśliwy — my zaliczamy dziewięć miesięcy, które dziecko przebywa w łonie matki, a jeśli rodzi się ono w dzień Nowego Roku, który przypada na europejski styczeń, to jest jeszcze o rok starsze...".

JERZY CZECH

# ODNALEZIONO KOPALNIE KRÓLA SALOMONA?

Amerykańscy geolodzy informują, że rzekomo odnaleźli „zagubione" kopalnie złota króla Salomona. Specjaliści już od dawna przypuszczali, iż około trzech tysięcy lat temu na terytorium Arabii Saudyjskiej, gdzieś między Mekką a Medyną, znajdowały się kopalnie, które dawały połowę wydobycia złota w całym starożytnym świecie.

Legenda głosi, że w królestwie Salomona zamożne rodziny jadały na talerzach odlanych ze szczerego złota, a królewscy łucznicy wprawiali się w strzelaniu z łuków do tarcz ze złota. Jednakże miejsce królewskich kopalń złota pozostawało tajemnicą.

Co najmniej cztery księgi wchodzące w skład Biblii wspominają o karawanach, które powracały do Jerozolimy wyładowane sztabami złota.

W „Pierwszej księdze królów" wspomina się o karawanie, która dostarczyła z rejonu Ofiru 420 talentów (13 ton) złota. W innym miejscu mówi się o dostarczeniu 12 ton złota przez inną karawanę i w innym czasie. Wielu badaczy próbowało uchylić rąbka tajemnicy salomonowych kopalń. Jedni przypuszczali, iż znajdują się one gdzieś w Arabii, inni, że w Indiach, jeszcze inni, że w Południowej Afryce, a niektórzy że nawet na Uralu.

Amerykanin Kenneth Twetchell, badając w 1933 roku górę Dżebel Mahd ed-Dahab („Kolebka złota" — w Arabi Saudyjskiej) wysunął przypuszczenie, że właśnie ona mogła być legendarnym źródłem bogactw Salomona. Twetchell stworzył syndykat górniczy Arabii Saudyjskiej, który poważnie zajął się tam poszukiwaniem złota. I nie bez sukcesów: w przeciągu 14 lat, od 1937 roku do 1951, w Dżebel Mahd ed-Dahab wydobyto około 60 ton tego kruszcu. Niedawne wspólne badania urzędów geologicznych USA i Arabii Saudyjskiej potwierdziły hipotezy Amerykanina. Pewna kompania amerykańska robi już nawet starania o uzyskanie zezwolenia na rozszerzenie prac wydobywczych w Dżebel Mahd ed-Dahab Informację podajemy na odpowiedzialność tokijskiego „Japan Times".

(C.)

## ■ Polsko-holenderskie partnerstwo
## ■ Wzrost sił lewicy we Francji
## ■ Nowe akcenty rozbrojeniowe

**Wizyta premiera Piotra Jaroszewicza w Holandii niesie zacieśnienie politycznej, gospodarczej i kulturalnej współpracy między naszymi krajami.** Wspólna deklaracja oraz podpisanie kilku porozumień gospodarczych konkretyzuje współdziałanie, nadaje impuls wzajemnym stosunkom, które rozwijać się będą na zasadach pełnego partnerstwa. Dotychczas bowiem nie wykorzystywaliśmy wszystkich możliwości, a wymiana handlowa nie była zrównoważona. Wspólne ustalenia sytuację tę polepszą. Punkt 6 Deklaracji stwierdza, że **„obie strony dążyć będą do pełnego wykorzystania w ramach obowiązujących ustaw i przepisów możliwości rozszerzenia i pogłębienia współpracy gospodarczej".** W tym celu będzie się popierać i ułatwiać kontakty między przedsiębiorstwami i organizacjami gospodarczymi obu krajów oraz rozwój wymiany handlowej.

Ale rozmowy objęły nie tylko stosunki dwustronne. Wiele w nich miejsca poświęcono problemom o szerokim aspekcie międzynarodowym. Zwróćmy uwagę na zadeklarowaną gotowość nadania procesowi odprężenia **„charakteru jednocześnie ciągłego oraz bardziej trwałego i powszechnego"** oraz podkreślenie **„komplementarności aspektów politycznych i militarnych bezpieczeństwa".** Obie strony zapowiedziały, że aktywnie działać będą na rzecz osiągnięcia pomyślnych wyników rokowań w Wiedniu i zaprzestania wyścigu zbrojeń oraz redukcji zbrojeń jądrowych i konwencjonalnych **„aż do osiągnięcia powszechnego i całkowitego rozbrojenia pod skuteczną kontrolą międzynarodową".**

Premierzy obu rządów wyrazili przekonanie, że wprowadzenie w życie wszystkich postanowień Aktu Końcowego KBWE leży w interesie krajów — uczestników helsińskiej konferencji.

Wyniki pierwszej oficjalnej wizyty szefa rządu polskiego w Holandii są więc pomyślne i służyć będą zacieśnieniu współpracy.

A teraz znów **nieco o Francji.**

Gdy ten numer „Odgłosów" znajdzie się w rękach Czytelników — znane już będą ostateczne wyniki wyborów municypalnych we Francji. Wybory bowiem odbywały się w dwóch turach, rozdzielonych tygodniowym odstępem. Jeśli decydujemy się na podjęcie tematu nie znając jeszcze końcowych rezultatów — czynimy to dlatego, że **już pierwsza tura wyborów przyniosła kilka charakterystycznych dla życia politycznego Francji faktów.**

Pierwszym i podstawowym jest **dalszy wzrost wpływów zjednoczonej lewicy.** Od czasu poprzednich wyborów do rad, które odbyły się przed sześciu laty, miały miejsce tak doniosłe wydarzenia, jak: przyjęcie przez lewicę wspólnego programu, zarysowanie się kryzysu gospodarczego oraz zmiana na stanowisku prezydenta. Wszystko to nie pozostało bez wpływu na sytuację wewnętrzną Francji. Rezultat — co już wiadomo po pierwszej turze głosowania — to **wprowadzenie do rad przez lewicę znacznie większej liczby jej przedstawicieli.** Wyraźnie powiększy swój stan posiadania Francuska Partia Komunistyczna, która teraz będzie miała swoich reprezentantów również w radach, gdzie nie było dotąd komunistycznych mandatów. Sytuacja nie raptownie, ale stale ewoluuje więc w kierunku lewicy.

Drugim wnioskiem, wypływającym z wyborów, jest potwierdzenie przewidywań, że największym wyborczym przeciwnikiem lewicy jest gaullistowska partia RPR, której przewodzi b. premier Chirac. Jako że do wyborów parlamentarnych pozostał tylko rok — nie wiadomo, czy gaulliści zdążą na tyle rozwinąć swoje wpływy, aby zapewnić sobie największe szanse.

Z omawianym wnioskiem łączy się trzeci — zróżnicowania koalicji rządowej do tego stopnia, że właściwie można mówić o powstaniu dwóch różnych ugrupowań — giscardowskiego i gaullistowskiego. Listy tego ostatniego w wielu wypadkach w pierwszej turze wyprzedziły pozostałe listy rządowe. Wspólne listy obozu rządowego w drugiej turze nie pomniejszają tamtego faktu. Wielu komentatorów wyciąga z tej przewagi gaullistów daleko idące wnioski — pisze się, że **może to nawet doprowadzić do kryzysu systemu i rozpisania przedterminowych wyborów,** gdyż przewaga ta świadczy o narastającym niezadowoleniu z rządów na płaszczyźnie wewnętrznej koalicji giscardowskiej.

I wreszcie interesujące jest także to, że spory sukces w pierwszym głosowaniu odnieśli zwolennicy ochrony naturalnego środowiska („ekologiści",) którzy niespodziewanie stali się jednym z czynników francuskiego życia politycznego.

Nade wszystko akcentuje się jednak **wzrost sił lewicy,** która — zacytujmy tu „L'Aurore" — „dała dowód jedności, w jaką nikt nie wierzył". AP stwierdza natomiast, że jest to „największe zwycięstwo lewicy francuskiej od zakończenia II wojny światowej".

I teraz już zupełnie krótko **o pierwszym przemówieniu prez. J. Cartera w ONZ.** We fragmencie poświęconym zbrojeniom mówił on o „oszalamiającym wyścigu", który nie daje wcale poczucia bezpieczeństwa. Dlatego m. in. konieczna jest współpraca z ZSRR dla zachowania pokoju. Będziemy — powiedział prezydent — z całą energią kontynuować rokowania na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych, widzimy także potrzebę zmniejszenia zbrojeń konwencjonalnych oraz zredukowania strumienia broni, płynącego do wszystkich niespokojnych rejonów świata. **Można to uznać za interesujące, jeśli w ślad za licznymi już słowami Cartera o rozbrojeniu pójdą czyny.**

W. SŁAWSKI

SPORT

# WSZYSTKIM SIĘ ZDAWAŁO...

Cytat z „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza: „Wszystkim się zdawało, że to Wojski gra jeszcze, a to echo grało" — znakomicie ilustruje sytuację ostatnich kilku sportowych dni. Wszystkim się zdawało, że nasi hokeiści pojechali do Tokio po awans do grupy „A", ale to było tylko echo dawnych dni. To nawet dobrze, że telewizja tych mistrzostw nie transmituje, bo już z tego, co mówi i pisze Bohdan Tuszyński niedwuznacznie wynika, że w najważniejszym spotkaniu z hokeistami NRD nasi pokazali, ile mi brakuje do światowego średniego poziomu. Można z tego wyciągnąć prosty wniosek, że po prostu pojechali nie najlepiej przygotowani.

Jeśli w jakiejś dyscyplinie sportowej wszystko jest na przeciętnym poziomie, to wszystkim się zdaje, że jest dobrze i nie ma żadnych dyskusji na ten temat. Jak tylko okaże się w konfrontacji z lepszymi, że jest źle, zaraz zaczyna się dyskusja. To nawet dobrze, że w obliczu niepowodzeń dyskutuje się o ich przyczynach, gorzej tego, kiedy na dyskusjach się kończy.

Andrzej Lewandowski w „Trybunie Ludu" przypomniał opinię radzieckiego trenera A. Jegorowa, który to utrzymywał, „że polscy sportowcy mają tak wielki talent do hokeja, iż z czasem powinni zrobić światową karierę". Ale widać czas ten jeszcze nie nadszedł. Dlaczego? Jedni twierdzą, że dlatego, iż nie mamy wystarczającej ilości lodowisk i mało jest trenujących zawodników. A lodowisk jest trzydzieści i parę, zawodników jest 1.600 lub 1.650. Dla jednych jest to dużo, dla innych mało. Powód do dyskusji jest. Długo można spierać się na ten temat, pytanie tylko, czy jest to akurat ten właściwy temat do dyskusji. Lodowisk jest wprawdzie trzydzieści i parę, ale — jak twierdzą niektórzy — niektóre nie odpowiadają warunkom potrzebnym do systematycznego treningu. Podobnie jest z trenującymi. Jest ich 1.650, ale pytanie: jak trenują, z jakim skutkiem? Pojedynek z hokeistami NRD wykazał na przykład — jak to napisał Bohdan Tuszyński — że zespół miał dobre założenia taktyczne, ale nie był zdolny do ich realizacji.

Wszystkim się też zdawało, że kolarze, którzy pojechali ścigać się na szosach Francji laurów wprawdzie nie przywiozą, ale czegoś się nauczą. Konfrontacja z zawodowcami przyda się im do późniejszych trudów zbliżającego się Wyścigu Pokoju. Ale oto, jak donoszą z Francji, jedynie Jan Brzeźny potrafił nawiązać walkę z zawodowcami, inni okazali się do tej walki całkowicie nie przygotowani. Stanisław Szozda, Tadeusz Mytnik, Bronisław Ebel, Janusz Kowalski i Wiesław Bielski wycofali się w trakcie wyścigu. Jan Brzeźny ukończył wyścig na 19 pozycji, Tadeusz Zawada na 63, a Mieczysław Nowicki na 79. Powodu do paniki jeszcze nie ma, ale zastanowić się można. I to nad tym, jak to właściwie jest. Triumfatorzy Wyścigu Pokoju nie błyszczą na zagranicznych szosach, gdzie dochodzi do konfrontacji ze światową zawodową czołówką. Dlaczego? Czy zawsze musimy być aż o tyle gorsi?

Wrocławski Śląsk nie sprawił nam niespodzianki. Wszystkim się zdawało, że przegra w Neapolu i przegrał. Nawet piłkarzom Śląska też zdawało się, że przegrają i grali zgodnie z tym przekonaniem. Sprawozdawcom wielką frajdę zrobiło znane powiedzenie: „Ujrzeć Neapol i umrzeć". Piłkarze Śląska ujrzeli Neapol i legli na boisku. Legli w fatalnym stylu. A przecież znów drużyna SC Napoli nie stanowiła żadnej rewelacji, nie pokazała futbolu najwyższej klasy. Obie bramki, które dały jej awans do następnego etapu pucharowych rozgrywek, były do obronienia przez bramkarza Śląska. Wrocławska drużyna nie wyciągnęła żadnego wniosku z remisu, jaki Włosi wywieźli z Wrocławia. Zagrała gorzej niż we Wrocławiu. Na stadionie w Neapolu okazało się, że wysoka przegrana z Widzewem w Łodzi nie była przypadkowym potknięciem, wynikającym z tego, że zespół wrocławski rezerwuje siły na decydujące spotkanie w słonecznej Italii.

Wszystkim się zdawało, że ŁKS po rewelacyjnej rundzie jesiennej, wiosną przystąpi do walki z nowym zapasem sił i zaskakującymi pomysłami taktycznymi. Ale jak na razie to tylko echo niedawnych sukcesów. Już w meczu z rybnickim ROW i później z gdyńską Arką widać było, że coś tu nie tak. Wprawdzie sprawozdawcy chwalili mądrą grę łódzkich piłkarzy, ale były to chyba pochwały dawane na kredyt wynikające ze wspomnień jesieni. Dopiero w Mielcu „szydło wyszło z worka" i trzeba było pożegnać się z Pucharem Polski. A i pozycja ŁKS w ligowej tabeli nie jest już taka pewna. Rywale gonią i kto wie, kiedy dogonią? Potwierdza się stara prawda, że bronić się jest trudniej niż atakować. I będzie coraz trudniej.

Jak zwykle w takich sytuacjach znajdzie się sto i jeden usprawiedliwień. Hokeiści mieli słaby dzień. Kolarze przejechali tylko 2 tys. kilometrów a ich rywale z francuskich szos 5 i 6 tysięcy kilometrów. W Neapolu było gorąco i ostro świeciło słońce. ŁKS nękają kontuzje. I Bóg jeden wie, co jeszcze można wymyślić. Ale usprawiedliwienia nie przysłonią prawdy, że z przygotowaniem naszych zespołów sportowych nie jest najlepiej. Wniosek z tego jeden: trzeba się wziąć do roboty, a nie szukać usprawiedliwień.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH (5)

WACŁAW BILIŃSKI

# WRÓCIĆ DO SIEBIE

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

Wieść o strzelaninie wyprzedziła ich, siostry i posługacze czekali na schodach szpitala. Wróbel wszedł o własnych siłach, Fedorkiewicza trzeba było wnieść, Ochman i Rheingold wzięli go natychmiast na stół.

Łanowiecki zbierał się do odjazdu, ale Wróbel zatrzymał go: będziecie mi jeszcze potrzebni.

— Widzieliście przecież tego bandytę? — pytał. — Poznalibyście?

— Na pewno. Przecież ja go tu przywiozłem. Z Piły.

— Co mówicie?

Łanowiecki uznał, iż trzeba się wdać w szczegóły.

— Na rynku w Pile... Nic, to było przed szpitalem. Wsiadaliśmy do samochodu, podszedł, prosił o podwiezienie.

— Przedtem nigdy go nie widzieliście? Nie sprawdzaliście jego papierów?

— Prosił, by wziąć go na łebka. O nic nie pytałem. Przecież tak się teraz jeździ...

— To prawda — powiedział Wróbel. — Sam tak podróżuję.

Zamyślił się. Gdzieś na dole ktoś krzyczał okropnym głosem, pogłos niósł po pustych korytarzach.

— Nie dostrzegliście, co ten typ miał w ręku? — spytał sierżant. — Zauważyliście chyba, że on biegł z czymś w ręku.

— To była jakby kaseta.

— Może, racja. A właściwie, panie Łanowiecki (to „panie" zjawiło się nie wiadomo skąd, nigdy przedtem Wróbel w tej formie się do niego nie zwracał), a właściwie na co pan czekał pod arkadami?

— Zaskoczyła mnie tam strzelanina.

— Zawsze ma pan broń przy sobie?

— Po tej naszej przygodzie w lagrze...

— Tak, istotnie. Ale nie strzelał pan?

— Już to sprawdzaliście.

— A chciał pan strzelać?

— Przez moment, zanim zabiegliście mu drogę. I pewnie bym strzelił. Wyście mnie uprzedzili.

Wróbel poprawił temblak, skrzywił się z bólu. Polecił milicjantowi doprowadzić tu, na górę, pana Łosia, tego sklepikarza. I woźnego z magistratu. Przysadzisty, krępy chłopak z rudawym wąsem odfrunął wykonać rozkaz, a Łanowiecki uznał za stosowne spytać, czy ma nadal czekać.

— Będzie mi pan jeszcze potrzebny. I pański wóz.

Przyprowadzili przejętego i wystraszonego pana Łosia. Woźnego, jak się okazało, w bałaganie nie doprowadzono. Wróbel siedział na tej samej ławie co Łanowiecki, rana mu dokuczała, krzywił się jak do płaczu. Przed nimi stał pan Łoś, przygarbiony i pozbawiony zwykłej pewności siebie. Trzymał w rękach tyrolski kapelusik i miętosił nielitościwie jego rondo.

— Panie sierżancie, przepraszam, panie komendancie — mówił wym aksamitnym basem. — Przecież tu siedzi pan dyrektor Łanowiecki. Może poświadczyć. Akurat wyszedł, miałem zamykać sklep. A tu nagle strzelanina! Pomyślałem, na wiwat. Staję w drzwiach i z tłumu wyskakuje jakiś młokos, i pistoletem mnie w brzuch, tak, że musiałem się cofnąć do sklepu. A on w otwarte drzwi do pokoiku na zapleczu i korzystając, że w zamku tkwił klucz...

— Widział pan go już kiedy? Tego człowieka? — przerwał Wróbel.

— A jakże. Trzy albo cztery razy — skwapliwie przytaknął pan Łoś. — Kupował u mnie papierosy. Jak wszyscy. Rozglądał się po kątach. Mówił, że chce się tu urządzić. Pytał o jakąś pracę.

— O jaką?

— O pocztę. O bank. Tak, właśnie o bank.

— A o magistrat?

— Nie pytał. Ale widziałem, panie komendancie, że tam chodził.

— Kiedy?

— Zaraz, niech pomyślę... Przedwczoraj. Na pewno. Przedwczoraj.

Wróbel westchnął, jakby ta wiadomość bardzo go zmartwiła. Spojrzał po twarzach milicjantów.

— Który z was biegł za bandytą?

— Na rozkaz — powiedział jeden o rudych wąsach. — Jam go ścigał.

— I byliście w sklepie?

— Pan... pan właściciel stał twarzą do ściany, ręce trzymał nad głową. Drzwi do pokoiku i tylne wejście były otwarte. Pan... pan sklepikarz pokazał, że tamten wybiegł, więc ja za nim, na boczną ulicę i aż do rogu.

— Widziałeś go jeszcze?

— Nie.

— O, raju! — westchnął Wróbel i uniósł wzrok do sufitu.

— Panie Łoś, ile czasu minęło od chwili, gdy bandyta wybiegł z pana sklepu, a zjawił się tam mój człowiek?

— Dosłownie sekundy. To następowało natychmiast, jedno po drugim.

— O, raju! — powtórzył Wróbel i zapadł w głębokie rozmyślania. Po chwili pan Łoś odważył się chrząknąć.

— O co chodzi? — spytał Wróbel.

— Sklep... sklep zostawiłem. Przekręciłem tylko klucz w drzwiach. A żaluzje nie ściągnięte. Czy mógłbym...

— Możecie iść. Jutro zgłosić się na komendę. Spiszemy zeznania.

— Tak jest, panie komendancie. Zawsze do usług.

Ledwie Łoś zniknął, z operacyjnej sali wynurzyli się obaj lekarze i Lucja, a za nimi dwaj sanitariusze, Niemcy, wypchnęli wózek. Wróbel zerwał się z ławy.

— Nie teraz, nie teraz, sierżancie! — zaprotestował doktor Ochman. — Nie wiem, czy on z tego wyjdzie. Nie trzeba go dręczyć.

— Człowieku! — powiedział Wróbel. — Ja muszę go przesłuchać!

— Jest w szoku. I tak niewiele wam powie — wyjaśnił Ochman.

— Co wy, doktorze, żarty sobie stroicie?

— Nie prędzej niż za parę godzin.

Łanowiecki poczuł, że ktoś mu kładzie rękę na ramieniu. Lucja wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Powiedziała półgłosem:

— Na mnie nie czekaj. Zostanę do rana.

Wróbel zły wrócił na swoją ławkę.

— Chyba jednak już pójdę, co, sierżancie? — Łanowiecki miał dość tego szpitala, miał dość wszystkich przeklętych szpitali! Ale sierżant jeszcze bardziej się skrzywił.

— Nie da rady, Łanowiecki. Musicie poczekać. Będziecie potrzebni.

Dopiero po paru godzinach okazało się, że istotnie Łanowiecki był milicjantowi niezbędny. W ciągu tych dłużących się godzin Wróbel raz po raz szturmował gabinet Ochmana, słychać było, jak się kłóci z lekarzem. Wreszcie wyszedł z triumfującą miną.

— Będziecie protokołować, dobrze? — powiedział do Łanowieckiego — Muszę mieć świadka zeznań. I kogoś, kto inteligentnie je zaprotokołuje. Skąd kogoś takiego wytrzasnę? Ochman nie ma czasu. Tak przynajmniej twierdzi.

Otworzył swą skórzaną torbę, wyjął zniszczony, w połowie zapisany brulion i byle jak zatemperowany ołówek. Obok łóżka Fedorkiewicza siedziała siostra Dorota. Przy drzwiach stał znajomy młody milicjant — towarzysz wyjazdów w teren starosty Mroza. Fedorkiewicz był przytomny, wyglądało na to, że jest z nim źle.

— Niech siostra wyjdzie — rozkazał Wróbel. — Łanowiecki, siadajcie przy łóżku.

Poczekał, aż drzwi zamkną się za siostrą. Stanął u wezgłowia rannego, nachylił się.

— Panie Fedorkiewicz? Będzie pan zeznawał!

Fedorkiewicz patrzył zapadniętymi, nieruchomymi oczami i milczał.

— Od pańskich zeznań zależy, czy złapiemy bandytę.

Ranny poruszył bezdźwięcznie wargami. Wróbel uznał to za znak wyrażający zgodę.

— Sam pan rozumie, że to i pańska sprawa. Nie powinni bezkarnie... Czy znał pan sprawcę napadu? Tego bandytę... Kto to był?

Fedorkiewicz zaprzeczył ruchem głowy.

— Protokołujemy — powiedział sierżant do Łanowieckiego.

— Sprawca napadu nie znany. A teraz, panie Fedorkiewicz, pytanie drugie: kim jest postrzelony w pańskim mieszkaniu mężczyzna?

Fedorkiewicz szarpnął się tak, że milicjant musiał go przytrzymać za ramiona.

— Czy... czy żyje? — wykrztusił z największym trudem.

— Najpierw niech pan odpowie na moje pytanie.

— Mój brat... Olgierd Fedorkiewicz...

— Tak. Protokołujemy. Pytanie trzecie: czy pan wie, kto to Taraszka?

— Nie... — wyszeptał burmistrz.

— Nie wie pan? — zdziwił się Wróbel. — A zna pan nazwisko Bożelak? Krzysztof Bożelak?

— Tak — powiedział Fedorkiewicz i powtórzył: — Bożelak.

Wróbel go zamęczy — pomyślał Łanowiecki. Czy musi go tak piłować? Ten człowiek umiera. A sprawca i tak jest już daleko.

— Bożelak — powtórzył Wróbel. — Skąd pan zna to nazwisko?

Fedorkiewicz mówił tak cicho, że musieli się nad nim pochylić, by usłyszeć.

— On był... Bożelak... dowódcą batalionu... w którym służył mój brat.

Wróbel siedział na skraju łóżka, pochylał się nad rannym.

— Kiedy brat służył z Bożelakiem? Kiedy? Panie Fedorkiewicz?

— Do wojny. I we wrześniu.

— A w czasie okupacji? I teraz? Co łączyło pańskiego brata z tym Bożelakiem?

Fedorkiewicz gwałtownie poruszył głową, z trudem łapał oddech. Na czole miał grube krople potu. Wróbel znów nachylił się, jeszcze niżej i znów chwycił rannego za ramiona.

— Czy pan wiedział, że Bożelak to Taraszka? No?

Fedorkiewicz zamknął oczy. Wróbel nie dawał mu spokoju. Był bezlitosny.

— Słyszał pan, o co pytałem? Wiedział pan, kim był Bożelak?

— Brat mi powiedział — wyszeptał Fedorkiewicz.

— Kiedy panu to powiedział?

— Jak tu przyjechał.

Fedorkiewicz wyraźnie się zawahał. Wróbel prawie krzyknął:

— No! Panie Fedorkiewicz?

— Powiedział, że Taraszka zginął, że wpadł.

— Niechże pan mówi, Fedorkiewicz! Chcemy ukarać tych, co zabili pańskiego brata. Mają ujść bezkarnie? Więc jak to było? Brat był zastępcą Taraszki?

— On likwidował jego oddział — powiedział ranny i zaczerpnął powietrza.

— Dlaczego pańskiego brata zabili? O co poszło? Dlaczego strzelali do pana? — Wróbel znów trzymał rannego za ramiona.

— Nie wiem! Nie wiem! — jęknął Fedorkiewicz i opadł na ręce Wróbla.

Otwarły się drzwi, do separatki wszedł doktor Ochman.

— Dosyć, sierżancie, dosyć! Trzeba mieć trochę ludzkich uczuć. Ani słowa więcej. Nie pozwalam!

Wróbel popatrzył na niego z pogardą. Fedorkiewicz leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami.

— Jemu i tak nic już nie pomoże — powiedział Wróbel. — Jeśliby zeznał więcej, może innych nie spotkałby taki los.

Łanowiecki zamknął zeszyt. Zrobiło mu się w tym małym, dusznym pokoju niedobrze. Wyszedł na korytarz. Doktor Ochman jeszcze spierał się z Wróblem. Obaj podnieśli głos. Wreszcie sierżant skapitulował. Niechętnie opuścił separatkę. Zamknął za sobą drzwi zostawiając z rannym doktora i wartownika.

— Niewiele się dowiedziałem — powiedział zapalając papierosa. Szło mu niezręcznie. Jedną rękę miał na temblaku. Łanowiecki mu pomógł. Wróbel zaciągnął się łapczywie i podał mu paczkę z papierosami. — Cholera! Nic nie powiedział. Jak kluczył. Zawsze taki sam.

— Chyba umiera — powiedział Łanowiecki.

— Porachunki! — mruknął Wróbel. — Pod moim bokiem. A taki dobry był kocioł.

Umilkł i wyciągnął rękę po zeszyt. Łanowiecki podał mu ten gruby, szkolny bruljon, do połowy zapisany, a teraz mieszczący jeszcze trzy stronice tego chaotycznego protokołu.

— Podpisaliście? Nie? To podpiszcie jako protokolant i świadek. Taraszka, psiakrew.

— Dlatego i mnie pytaliście o Taraszkę?

— Chyba tego nikomu nie powtórzyliście, co? Taraszka jak na złość! Wpadł w Krakowie. Próbował uciekać. Zastrzelili go. I cały mój plan diabli wzięli. Taki świetny plan! A ja tu na niego czekałem. Gdyby tam nie wpadł, na pewno by tu przyjechał.

— Po co miał tu przyjeżdżać?

— Miał powody. Rodzina to najlepszy kocioł. Fedorkiewicze, to jego szwagrowie. Ten Olgierd był jego zastępcą. A potem likwidatorem. Wiecie, co to znaczy likwidator oddziału? Siedzi na dolarach. Tysiące dolarów. No, ale dosyć o tym. Możecie iść do domu. Tylko nikomu ani słowa.

## CORTAZAR

Pod koniec roku 1975 Jerzy Kühn napisał, że jeśli ukażą się polskie przekłady „Wielkich wygranych", „W 80 światów dokoła dnia", „Ośmiościanu" i „Libro de Manuel", to już właściwie będziemy mogli powiedzieć, że znamy wszystko, co najważniejsze w twórczości Julio Cortazara. Przypominać czytelnikom, kto to jest Cortazar byłoby chyba grubym nietaktem, bo jest to pisarz cieszący się u nas ogromną popularnością. I miło donieść, że z wymienionych powyżej tytułów jeszcze niedostępny jest dla nas tylko „Libro de Manuel". Nie tak dawno „Czytelnik" opublikował „Wielkie wygrane", a ostatnio, to samo wydawnictwo przekazało nam „W osiemdziesiąt światów dokoła dnia" i w serii „Nike" „Ośmiościan".

Pierwsza książka to zbiór rożnorodnych, pełnych dowcipu, poezji i filozoficznej zadumy esejów o współczesnym świecie. Sam autor nazwał tę książkę „przechadzką kameleona po pstrokatym dywanie". Tych, którzy wcześniej zapoznali się z „Opowieściami o kronopiach i famach" informujemy, że te przedziwne, acz zaskakująco przypominające ludzi, istoty występują i w tej książce. Warto również zwrócić uwagę na jej ciekawą szatę graficzną, która jest przeniesiona z edycji hiszpańskiej.

Druga książka Cortazara — „Ośmiościan" — to najnowszy, pochodzący z 1974 roku zbiór jego opowiadań. Jak zwykle u tego pisarza bohaterami są ludzie nam współcześni, uwikłani w skomplikowane problemy i wątpliwości, nie bardzo przystający do świata, w którym przyszło im żyć. „Ośmiościan" nie przypadkiem składa się z ośmiu opowiadań, z których każde jest wprawdzie odrębną całością, ale wszystkie wzajemnie uzupełniają się, tak jak poszczególne elementy geometrycznej bryły.
Obie książki tłumaczyła Zofia Chądzyńska.

---

Julio Cortazar — „W osiemdziesiąt światów dokoła dnia", Czytelnik, Warszawa 1976, str. 330, cena zł 42,—
„Ośmiościan" — Czytelnik, Warszawa 1977, str. 166, cena zł 21,—

## ETHAN FROME

Jak nam rekomenduje wydawca, Edith Wharton (1862—1931) uważana jest przez krytyków literackich za najlepszą po Henry Jamesie, autorkę powieści obyczajowych i mistrzynią małych form literackich. Jej twórczość jest u nas prawie nieznana. Dwa polskie przekłady jej utworów ukazały się bowiem w początkach tego stulecia, po wojnie ukazał się zbiór jej czterech dłuższych opowiadań „Stary Nowy Jork". Obecnie ukazał się drugi powojenny polski przekład którym jest krótka powieść „Ethan Frome". W twórczości Edith Wharton dominują dwa tematy. „Pierwszy — jak pisze we wstępie Wiesław Furmanczyk — to problem człowieka wielkiego formatu, o szerokiej naturze, który jak na ironię wiąże się dobrowolnie z osobą małostkową, przyziemną. Drugim tematem jest wynikające stąd zagadnienie odpowiedzialności człowieka, który pragnie wyzwolić się z tych więzów, pytanie, do jakich granic wolno mu się posunąć, jeśli nie chce naruszyć porządku świata, w którym żyje". Te w gruncie rzeczy ponadczasowe, a więc istotne i dla współczesnego czytelnika problemy zawarte są właśnie w książce „Ethan Frome". Akcja toczy się na tle surowego zimowego pejzażu amerykańskiej prowincji. Ponurą historię bohatera — Ethana Frome'a opowiada autorka z niezwykłą, ale przez to bardzo sugestywną prostotą. Chyba właśnie dlatego „Ethan Frome" jest najbardziej znanym utworem Edith Wharton.

---

Edith Wharton — „Ethan Frome", przełożyła: U. Łada-Zabłocka, Czytelnik, Warszawa 1976, str. 142, cena zł 22,—

## HISTORIA BOOMU

„...w 21 republikach jednego kontynentu, gdzie używa się różnych odmian języka kastylijskiego (hiszpańskiego — przyp. red.) mniej więcej zrozumiałych, w ciągu bardzo krótkiego okresu ukazały się świetne debiuty pisarzy, którzy literacką dojrzałość osiągnęli wyjątkowo — albo względnie — szybko (np. Vargas Llosa i Carlos Fuentes) i niemalże w tym samym czasie powstały najwybitniejsze powieści głośnych autorów starszego pokolenia — Ernesta Sabato, Onettiego, Cortazara, co w sumie dało zadziwiające połączenie (...). Zupełnie nagle pojawiło się kilkanaście powieści — w najgorszym przypadku godnych uwagi — które zapełniły istniejącą do tej pory lukę".

Cytat ten pochodzi z książki chilijskiego pisarza Jose Donoso „Moja osobista historia boomu" i dotyczy interesującego zjawiska w literaturze krajów Ameryki Łacińskiej, które miało miejsce w latach sześćdziesiątych i zyskało sobie miano „boomu". Dla polskiego czytelnika, który śledzi uważnie kolejne publikacje konsekwentnie prezentowane od kilku lat przez Wydawnictwo Literackie w Serii Prozy Iberoamerykańskiej nie jest obcy ani ten termin, ani już tym bardziej nazwiska pisarzy, które wymienia Jose Donoso. Toteż dobrze się stało, że Wydawnictwo Literackie, postanawiając niejako uzupełnić naszą edukację w dziedzinie prozy latynoamerykańskiej, udostępniło nam książkę Donoso, w której pisarz przedstawia wiele interesujących opinii i spostrzeżeń o samym „boomie", o wielu pisarzach i różnorodnych wydarzeniach literackich związanych z tym zjawiskiem. Dodajmy od razu, że „Moja osobista historia boomu" jest nie mniej interesująca niż proza przedstawicieli „boomu". Napisana z pasją, dystansem i ironią przedstawia wyrazisty obraz środowiska pisarzy latynoamerykańskich nie pozbawiony smakowitych plotek i anegdot.

Jose Donoso, pisarz również związany z „boomem" znany jest polskiemu czytelnikowi choćby z przekładu interesującej powieści „Plugawy ptak nocy". Z „Moją osobistą historią boomu" mieli już okazję zapoznać się czytelnicy miesięcznika „Literatura na świecie". Przekład książki ukazał się bowiem w 1975 r., w grudniowym numerze „Literatury na świecie", poświęconym prozie iberoamerykańskiej.

---

Jose Donoso — „Moja osobista historia boomu", przełożyła E. Komarnicka; Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1977, str. 101, cena zł 20,—

## WARTO PRZECZYTAĆ

George Bidwell — „Synowie Pat". Powieść historyczna z dziejów Irlandii. Przełożyła Anna Bidwell. LSW 1976, str. 317, zł. 28,—

Czesław Chruszczewski — „Fenomen kosmosu". Powieść. WPoz. 1977 str. 255, zł 35,—

Edward Hołuda — „W skurczu źrenicy". Iskry 1977, str. 337 zł 20,—

Józef Hubert — „Odwrócone losy". MON 1977, str. 282, zł 35,—

Mapa turystyczna — „Tatry i Pieniny", PPWK 1977, zł 15,—

Barbara Nawrocka-Dońska — „Odlot za tydzień". Czyt. 1977, str. 167, zł 18,—

Ziemowit Ogiński — „Karnawał i post". Czyt. 1977, str. 223, zł 16,—

Bolesław Żabko-Potopowicz — „Diamentowa rzeka". LSW. 1977, str. 221, zł 26,—

# ZDARZENIA I ZWIERZENIA

## JESZCZE RAZ BIBLIOGRAFIA

Zaledwie parę tygodni temu pisałem o łódzkiej bibliografii i dziś znów powracam do tego tematu. Przyczyna jest jednak poważna — nowy tom **„Bibliografii Łodzi i województwa"** za rok 1972. Ale jednocześnie zapowiedź: oto ukazywać się będą co roku zeszyty łódzkiej bibliografii obejmujące rok kalendarzowy. Określenie „zeszyt" jest zresztą bardzo umowne — pierwsza publikacja liczy ponad 200 stron.

Jak podają autorzy, w chwili obecnej zakończono już pracę nad tomem bibliografii za rok 1971, a w przygotowaniu znajduje się tom za rok 1973.

A teraz autorzy. Jest to zespół w składzie: **Roman Kaczmarek, Andrzej Gawroński, Krystyna Mierzwianka, Małgorzata Basińska, Krystyna Balcerowska i Halina Krigel.** Jak widać z zestawu nazwisk, jest to zespół z **Biblioteki Publicznej im. Ludwika Waryńskiego, a ściślej z Działu Informacji i Bibliografii** tej placówki.

Pomysł wydawania bibliografii tematycznej co roku jest rozwiązaniem tyleż prostym, co znakomitym. Bibliografie są oczywiście także potrzebne po wielu latach, ale jakże często potrzebujemy ich w miarę szybko. Dość powiedzieć, że na kompleksową bibliografię łódzką czekaliśmy prawie trzydzieści lat. Gdyby na pomysł Biblioteki Waryńskiego wpadł ktoś trzydzieści lat temu i gdyby wówczas znalazły się na to pieniądze, mielibyśmy dziś prawie trzydzieści tomów pełnej, kompleksowej bibliografii dotyczącej naszego miasta. Miejmy zatem nadzieję, że kolejne tomy bibliografii będą się nadal ukazywać i że nikt nie wpadnie na pomysł, że jakieś dyrdymałki za drogo kosztują i trzeba je skreślić z planu. Jak wiadomo zdarzały się już takie wypadki.

Ponieważ autorzy apelują o uwagi, myślę, że nie od rzeczy będzie zatrzymać się przy sprawie kryptonimów. Jest to problem szerszy i — myślę — istotniejszy od jednostkowych pomyłek, które zdarzają się i będą się zdarzać w każdej bibliografii. W omawianej na przykład pomylono aktora **Mirosława Szonerta** z aktorem **Mieczysławem Szarganem,** który jest jednocześnie pisarzem. Pisarską profesją obdzielono jednak Szonerta.

Jeśli chodzi o kryptonimy, to brak tu konsekwencji. Niektóre są rozszyfrowane, inne nie. Często zresztą owa niekonsekwencja występuje w jednej pozycji. Np. 1787: literka P zostaje rozszyfrowana jako **Henryk Pawlak,** literki Kt — nie, choć wiadomo każdemu, że to znany kryptonim **Konrada Turowskiego.**

Poza tym są pozycje dość dziwne. Na przykład adnotowany jest artykuł w „Magazynie Polskim", ale wiadomo, że jest to magazyn przedruków, więc pierwodruk miał miejsce w jakiejś łódzkiej gazecie. Sądząc po autorce — to chyba w „Głosie Robotniczym" (poz. 2000).

Pisząc o bibliografii **Wandy i Wacława Frątczaków** za lata 1945—1970 nie wytykałem przeoczeń i pomyłek oraz nie dzieliłem się wątpliwościami natury merytorycznej (czy np. bibliografia ma prawo rozszyfrować współczesną „powieść z kluczem"). Uważam po prostu, że **„Bibliografia regionalna"** jest dziełem zamkniętym, wznowiona zapewne nie będzie, więc po co wskazywać usterki, skoro dzieło jest cenne i potrzebne mimo wad. Tutaj jednak się czepiam, ponieważ mamy do czynienia z serią, która towarzyszyć będzie miastu przez następne lata, więc warto krytykować dziś, abyśmy za rok czy dwa mieli bibliografię idealną. Jeśli oczywiście ideał jest w tej trudnej i mrówczej pracy możliwy.

WIDOK

# LEWYM OKIEM

## KOT I PUZON

Tak się złożyło, że wypadło mi przeczytać parę bardzo fachowych dywagacji o różnych dokonaniach plastycznych. Oczywiście, jak stałoby się to z każdym nie wtajemniczonym odbiorcą takich rozważań, nabawiłem się przy tym szeregu kompleksów, z kompleksem niższości na czele: autorzy, ci którzy komentują sztuki plastyczne, których zadaniem powinno być chyba wyjaśnianie, zbliżanie, systematyzowanie — czynią wszystko, żeby całą ogromną dziedzinę sztuki, cały bezkresny obszar potencjalnego piękna uhermetycznić, oddalić, zamknąć na siedemdziesiąt zaszyfrowanych kluczy.

Jako nietknięty przez bakcyla koneserstwa profan myślałem sobie niegdyś, że plastyka w najszerszym pojęciu to sztuka operowania kształtem i barwą. Ale nie byle jakiego operowania. Nie można byłoby przecież grać w szachy, poruszając figurami byle jak. Zasady ruchu figur szachowych — to ograniczenia. Nie można byłoby grać w brydża — powiedział kiedyś Boy — gdyby w poniedziałek as bił króla, a we wtorek — dziesiątka asa. Artyści „robiący" w barwie i w kształcie, postanowili jednak pozbyć się wszystkich ograniczeń — no i doprowadzili do tego, że gra — pozbawiona zasad — przestała być grą, stała się obojętnym wszystko jedno czym. Tak samo zresztą jak poezja, pozbawiona kolejno wszystkich ograniczeń: rymu, rytmu, ortografii, interpunkcji i przekazywalnego sensu.

W gorączkowej pogoni za walorem, uznanym za najważniejszy na giełdzie artystycznej, mianowicie za walorem nowości za wszelką cenę, pokazania czegoś, czego jeszcze nie było, wymyślenia i nazwania przeżyciem artystycznym czegokolwiek, byleby to przed nami nikomu do głowy przyjść nie mogło — dość szybko okazało się, że takie niebywałe niebywałości wymyślać jest coraz trudniej. Można rzeźbić w twarogu, malować lewą nogą na suficie, skleić ucho od czajnika ze starą skarpetką i zawiązać sto supłów na kolczastym drucie. Można do tego dorobić filozofię. Ale bardzo trudno tę filozofię czytać, jeżeli nawet założymy, że jest przeznaczona do czytania przez ludzi spoza owej wtajemniczonej grupy magów. Bo na przykład czytamy (cytuję z autentycznych katalogów i recenzji, na żądanie podam źródła):

**„W roku 1950 artysta rozszerza właściwe mu wertykalne i horyzontalne pociągnięcia pędzla formując krzyżujące się równoległoboki, które w myśl zasady „push and pull" rytmicznie pulsują. W roku 1953 kompozycje wielobarwne ustępują miejsca serii czarnych płócien, które winny być odpowiednikiem popularnego w stylistyce wschodniej wizerunku Buddy pozbawionego tchnienia, czasu, stylu, życia, śmierci i końca".**

Gdyby ktoś chciał to przetłumaczyć na polski, to co zostanie? Zostanie tylko tyle: artysta macha coraz energiczniej pędzlem poziomo i pionowo i wychodzą mu równoległoboki, które zgodnie z zasadą „raz popchnij, raz pociągnij" zaczynają migotać w oczach. Później artysta znudził się migotaniem i zaczął smarować płótna na czarno. Dlaczego czarne płótno ma przypominać Buddę bez tchnienia i końca, tego już nie wiem. Dawniej przypominało z tą samą słusznością Napoleona pod piramidami w bezksiężycową noc. Kto tu z kogo robi balona przy użyciu nadętych słów?

Czytam o „artyście, który teoretyzuje na temat architektury powietrza i anektuje chmury na niebie, podpisując je imaginatywnie". Imaginatywnie — to znaczy chyba w wyobraźni. Czyli wyobraża sobie, że podpisuje chmury, a my — nie wiem skąd znając jego wyobrażenia — mamy sobie wyobrazić, że jest artystą.

Czytam też w „Głosie Robotniczym", że **„Zmysłowa tematyka to wprawdzie nie arytmetyczna całość (pewnej) wystawy, ale niewątpliwie jej tzw. lwia część. Potężny akord tej tak rzadko — zwłaszcza w ostatnich latach — uprawianej tematyki dudni na wystawie niczym wielka orkiestra dęta, w której dźwięk puzonów to ledwie miauczenie kota — przy tylu grzmiących basowo helikonach".**

Czytam i nadziwić się nie mogę, czego to nie można napisać o plastyce, kiedy ktoś się na niej zna. I o kocie, i o puzonie...

ĆWIEK

# PROPOZYCJE

## CO NOWEGO W TELEFONACH?

**Są tematy, do których wraca się niechętnie, a które przecież są ciągle tematami aktualnymi, nurtującymi ludzi, poruszanymi w rozmowach i na łamach gazet. Dla mnie takim tematem, do którego wracam niechętnie, są telefony. Każdy przyzna, że stan telefonów w Łodzi budzi powszechny niepokój i powszechne narzekania. Telefony mamy fatalne, jest ich mało, daliśmy się pod tym względem ponownie wyprzedzić innym ośrodkom kraju, a ludzie, którzy za taki stan rzeczy są odpowiedzialni obrażają się na wszelką krytykę, choć tego czynić nie powinni.**

**Cóż więc tu można napisać nowego o telefonach? Powtarzać stare żale i narzekania? Mógłbym na przykład opowiedzieć, jak usiłowałem kilka dni temu połączyć się telefonicznie z własną redakcją z telefonu zaczynającego się na „2", a że było to zaledwie kilka domów od redakcji pobiegłem piechotą i byłem szybciej niż w „2" rozległ się sygnał stacji, oznajmiający o tym, że linia jest wolna. Ale cóż to nowego? O tym wiadomo już w Łodzi od lat i każda instytucja, mieszcząca się w śródmieściu, stara się o telefony zaczynające się na „6". Dzięki temu już i w „6" trzeba dłużej czekać na sygnał centrali.**

**A jednak zdarzyło się coś nowego i w telefonach. Oto Marian Miszalski z „Głosu Robotniczego" zrobił rajd reporterski, spenetrował 13 budek telefonicznych rozmieszczonych w różnych rejonach miasta i zaledwie w dwóch znalazł sprawne automaty telefoniczne. Oczywiście taki rajd nie jest niczym nowym, ale nim przejdę do tego, co zauważyłem nowego w telefonach, proszę o trochę cierpliwości. Chciałbym przedtem zacytować to, co pisze Marian Miszalski w „Głosie Robotniczym". Spróbował on bowiem nie tylko ustalić, gdzie nie ma sprawnego automatu, ale — również — o d k i e d y? I tak na rogu ulicy Krzemienieckiej i Konstantynowskiej aparat jest nieczynny od 2 tygodni. Tyle samo u zbiegu ulicy Łąkowej i Kopernika. Od miesiąca — przy zbiegu ulicy Wólczańskiej i Worcella. Przy czym bywa to albo uszkodzenie aparatu albo całkowita jego demolacja.**

**I co na to poczta? Marian Miszalski udał się do kierownika odpowiedniego oddziału Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji — Leszka Przeździeckiego i dowiedział się od niego, że w mieście na 230 budek telefonicznych 100 jest nieczynnych. I to właśnie jest ta nowość w telefonach! Dlaczego? Zaraz to postaram się uzasadnić.**

**Andrzej Makowiecki napisał kiedyś o stanie telefonów na łamach „Odgłosów". Był to reportaż gorzki może, ale napisany ze społeczną troską o stan tak ważnej dziś dziedziny komunikowania się. Jednakże obraz, jaki pokazywał reportaż Andrzeja Makowieckiego, nie był aż tak ponury, jak to przedstawia Marian Miszalski w krótkim artykule publicystycznym. A gromy, jakie posypały się wtedy na głowę reportera „Odgłosów" były zupełnie nieproporcjonalne do tego, co napisał.**

**Pamiętam zresztą również swój felieton, który napisałem na marginesie pewnej rozmowy, jaką na łamach „Głosu Robotniczego" z przedstawicielami telekomunikacji opublikował Andrzej Malisz. Po tym felietonie uparcie dzwonił do mnie tajemniczy „monter", który koniecznie chciał się ze mną spotkać „na mieście", aby mi „wytłumaczyć", że nie mam racji. A kiedy zaprosiłem go do redakcji... nie przyszedł.**

**A tu proszę, sam kierownik mówi więcej niż to zdołał stwierdzić reporter. Mało tego, ujawnia również, że w Łodzi jeden automat przypada na 900 abonentów, podczas gdy w Warszawie na stu kilkudziesięciu oraz także i to, że lepiej pod tym względem jest w Poznaniu i Wrocławiu. Ujawnia pilnie do tej pory strzeżone „tajemnice". To już w stosunkach łódzkiej telekomunikacji z prasą zupełna n o w o ś ć!**

**Do konserwacji automatów telefonicznych powołano 28 rejonów, w których pracuje 50 osób. Być może jest to mało, a być może potrzebne byłyby im samochody, aby mogli szybko i stale poruszać się po mieście. Wojewódzki Urząd Telekomunikacji poniósł w ubiegłym roku milion złotych strat z powodu dewastacji automatów telefonicznych. Trudno godzić się na takie marnowanie publicznego grosza przez chuliganów i nieuczciwych klientów poczty. Ale wydaje mi się, że wszystkiego nie można zwalać na karb chuligaństwa i nieuczciwości. Wydaje mi się, że potrzebny tu jest upór konserwatorów. W końcu komuś musi się znudzić ta „kosztowna zabawa". Oby tylko nie poczcie. Wydaje mi się — i jestem gotowy bronić tej tezy — że jeśli dewastowane aparaty będą natychmiast reperowane, to w końcu zwycięży upór poczty. Źle jest, kiedy chuligani i inni szkodnicy mają satysfakcję: zniszczyli i aparat już dwa tygodnie a czasem i więcej jest nieczynny. A więc ich szkodnictwo jest s k u t e c z n e. A poza tym ludzi przyłapanych na niszczeniu społecznego mienia trzeba karać. Co do tego nie ma wątpliwości.**

**Rozwijanie telekomunikacji jest rzeczą niezbędną. Taki o b o w i ą z e k spoczywa na poczcie. I nie może być żadnego usprawiedliwienia przy spełnianiu tego obowiązku, a już w żadnym wypadku przyznawanie się do bezradności, co poczta nieustannie czyni.**

MARCIN RODAK

# magazyn

„Dzień dobry! Piszę do Was po raz pierwszy, ponieważ zdobyłam Wasz adres w ostatnim numerze „Radaru". Jestem uczennicą VIII klasy i mam na imię Ania. Przepadam za muzyką rozrywkową i koniecznie chcę zostać piosenkarką. Koledzy mówią, że jestem zgrabna (zwłaszcza nogi) i ładna i podobna do Jarockiej, tylko ona się lepiej ubiera. Zapiszcie mnie do Waszej Estrady oraz przyślijcie mi 3.000 zł na początek ponieważ są mi potrzebne, a rodzice nie mają ich skąd wziąć. Proszę Was bardzo, bo jestem w krytycznej sytuacji A WIĘC CZEKAM!".

I tu następuje nazwisko i adres. Jest to jeden z dziesiątków autentycznych listów, które wpływają do Estrady Łódzkiej od panienek (panowie piszą rzadziej) z całego kraju. Estrady stają się jedną z wielkich fabryk marzeń dla dorastających panienek i dowodem, że eksploatowany dotąd stereotyp gwiazd kina powoli wyparty zostaje przez stereotyp gwiazd estrady. Powstaje pewien mit: być gwiazdą estrady to być ładną, zgrabną, mieć łatwe życie i zarabiać pieniądze. Całe życie byłem przekonany, że jest tylko jeden zawód (ten najstarszy) na świecie, gdzie uroda i dobra figura są pomocne w łatwym życiu i wymienialne na pieniądze. Listy te utwierdzają mnie w przekonaniu, że wśród wytworów kulturowych najtrudniejszym do badania są młode dziewczyny.

* * *

W końcu kwietnia br. odbędzie się w Łodzi, już po raz trzeci, krajowy konkurs młodych talentów **„Nowe twarze polskiej rozrywki"**. Konkurs ten odbył się pierwszy raz w 1974 roku, po ponad 10-letniej przerwie od czasu gdy podobnego typu przeglądy odbywające się w Szczecinie wylansowały **Czesława Wydrzyckiego — Niemena, Helenę Majdaniec, Katarzynę Sobczyk, Michaja Burano, Karin Stanek** i innych młodych, nieznanych wówczas wykonawców. Na marginesie tego konkursu warto chyba zastanowić się nad drogami do tzw. kariery, splątanymi misternie ścieżkami, które ułatwiają czasem szybki start, ale także często brak dalszej opieki powoduje, że większość młodych wykonawców powiększa sfatygowaną rekwizytornię piosenkarskiego banału.

Pisałem już wielokrotnie o tym, że początkiem artystycznej kariery estradowej jest w naszym kraju z reguły studencki teatr, kabaret, amatorski konkurs wokalny itp., bardzo rzadko natomiast specjalistyczne uczelnie. Poza jedyną katowicką wyższą szkołą muzyczną nie ma w szkołach teatralnych czy muzycznych żadnych wydziałów kształcących kadry dla estrady. Pojawiające się niekiedy głosy, że przedsiębiorstwa estradowe winny otwierać szkoły kształcące estradowych wykonawców należy traktować w takich kategoriach jak żądanie utworzenia Politechniki przy Zakładach Szlifierek „Ponar-Jotes", która to Politechnika kształciłaby inżynierów dla potrzeb tej fabryki. Porzucam więc te dywagacje, zwłaszcza że od lat wielu środki masowego przekazu postulują reaktywowanie wydziału estradowego przy warszawskiej wyższej szkole teatralnej (absolwentami tego wydziału są m. in. **Bohdan Łazuka, Jerzy Połomski**) co okazuje się zajęciem o tyle pra-

ANDRZEJ JÓŹWIAK

## KARIERY

cochłonnym co w efekcie finalnym — zbędnym. Dzisiaj natomiast chciałbym zwrócić uwagę na różne drogi do sukcesu. Niekiedy biegunowo różne. Opieram się na przykładzie radzieckiej piosenkarki **Ally Pugaczowej** oraz francuskiej wokalistki **Mireille Mathieu.** Mathieu która dziś otrzymuje 5 tysięcy franków za galowy koncert i jest jedną z trzech gwiazd — obok **Gilberta Becaud** i **Charlesa Aznavoura** — która pobiera tak wysokie honorarium. Mireille Mathieu o początkach swej kariery mówi w wywiadzie dla Paris Match: **„...dla mnie osiągnięcie tego wszystkiego było więcej niż trudne. Szkołę opuściłam mając 12 lat, tak więc nie miałam żadnego przygotowania, ani ogólnego, ani muzycznego. W ciągu 10 lat pracy zmieniłam się nie tylko jako piosenkarka. Lubię pracę, lecz choć od najmłodszych lat chciałam zostać piosenkarką, nie sądziłam jednak jak bardzo ciężko trzeba pracować w tym zawodzie. Początkowo uczyłam się — przygotowując moje piosenki w języku niemieckim i angielskim — fonetycznej wymowy. Teraz mówię płynnie po niemiecku i po angielsku".**

Zupełnie inną drogę rozwoju artystycznego miała radziecka piosenkarka **Alla Pugaczowa**, która ukończyła dwa wydziały — dyrygenturę chóralną i pianistykę Wyższej Szkoły Muzycznej w Moskwie. Wyszła za mąż, urodziła dziecko, aktualnie studiuje zaocznie reżyserię w moskiewskiej szkole teatralnej. **Alla Pugaczowa**, obok **Karela Gotta** (również ukończył Wyższą Szkołę Muzyczną) jest aktualnie najwyżej ceniona przez koneserów światowego show-businessu. **Alla Pugaczowa** osiągnęła sukces w momencie, kiedy sama była przekonana o tym, że nadeszła pora, aby wycofać się z estrady.

Dwa odmienne życiorysy, dwie odmienne drogi zmierzające jednak w sumie do tego samego celu. Nie ma więc recepty na sukces; najważniejsze to ustalić co się chce w życiu zrobić, a potem robić to jak najlepiej.

I chyba na tym polega istota duchowa człowieka, że wyraża się ona w tym, co człowiek tworzy, a nie kiedy to czyni. Oczywiście mechanizmy oddziaływania środków masowego przekazu, naciski postępu technologicznego, środowiska kulturalnego współczesnej cywilizacji mogą ułatwiać bardziej błyskotliwe i szybciej popularyzowane kariery artystyczne, ale o wszystkim decyduje talent i praca artysty.

* ☆ *

A swoją drogą ciekaw jestem, kiedy do „Odgłosów" wpłyną listy mniej więcej takiej treści: „Drogi Redaktoże, chcę zostać dziennikażem, koledzy mi muwią, rze mam ładne piuro (Loterman) i jestem podobny do Wawżaka. Pszyślijcie mi 10 patyków, bo jestem w krytycznej sytuacji. A WIĘC CZEKAM!"

*Foto: Archiwum*

## NAPRAWDĘ ŁÓDZKA PIOSENKARKA

**Krystyna Wawrzkiewicz, piosenkarka łódzka, należy do grona interpretatorek piosenki, które określamy mianem ciekawych. Znana jest bowiem jako doskonała wykonawczyni piosenek literackich. Stale współpracuje z Orkiestrą Polskiego Radia i Telewizji pod dyrekcją Henryka Debicha i ma już na swoim koncie wiele nagrań.**

**Jeszcze jako studentka Wydziału Wokalnego Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi, zdradziła swoje zainteresowania estradowe prowadząc spotkania z piosenką organizowane przez „Express Ilustrowany" i Wydział Kultury. Zdobyła I miejsce w radiowej giełdzie piosenki w Warszawie i została zaproszona do udziału w opolskim festiwalu, gdzie wystąpiła w koncercie zatytułowanym „Echa giełdy, estrady i kabaretu", zdobywając nagrodę publiczności.**

**Na zlecenie Polskiej Agencji Artystycznej wyjechała na Cypr, aby wziąć udział w międzynarodowym programie kabaretowym. Po powrocie z Cypru, na zaproszenie radiokomitetu węgierskiego w Budapeszcie, rozpoczyna tournee po WRL. Ponadto przez rok przebywała w Jugosławii, a w latach 1974—1976 kilkakrotnie gościła w ZSRR, eksportując tam piosenki łódzkich autorów. Także i w tym roku, biorąc udział w programie „Moda i Piosenka" organizowanym przez „Textilimpex", Zjednoczenie Przemysłu Dziewiarskiego i Estradę Łódzką, wyjedzie do Kraju Rad.**

**Obecnie, jest jedyną piosenkarką z kręgu łódzkich debiutów sprzed kilku laty (m. innymi Śnieżanka i Cwynar), która nie opuściła Łodzi, mimo licznych na drodze rozwoju swojej kariery propozycji. Jest to więc zatem naprawdę łódzka piosenkarka, która oprócz wspomnianych piosenek literackich, z dużym powodzeniem wykonuje także utwory popularne.**

**AWM**

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

## MOŻLIWOŚCI

Dyskusja w Biurze Zbytu Ubytków weszła w decydujące stadium.

— Nie ma to jak trzysmakowy CARPIGIANI — rozmarzył się Nowak. — Z jednej rurki lecą czekoladowe, z drugiej śmietankowe, z trzeciej owocowe i po roku jest już pół segmentu!

— Ja wolę jednak rożno — zareplikował Kowalski.

— Nie „rożno", lecz r o ż e n — poprawił go Malinowski, który skończył podobno liceum humanistyczne.

— No, a takie gofry? — wtrącił się zastępca kierownika.

— Mam wujka, który co roku wyjeżdża na Rivierę...

— Tylko rurki, koledzy, tylko rurki z kremem! — huknął tubalnym głosem kierownik i znów zagłębił się w krzyżówce.

— A maszynka do Hot-Dogów? — zapytała panna Krysia. — Już sam zapach przyciąga klientów! Istna maszynka do robienia pieniędzy!

— Może być jeszcze automat do bitej śmietany — dorzucił znów kierownik, który — jak widać — darzył kremy i śmietanę szczególnymi uczuciami.

— Koledzy! A szynszyle hodowlane? Przez jeden miesiąc można je tak rozmnożyć, że nie nadąży się ze ściąganiem skórek! — krzyknął nagle radca prawny.

Pan Gienio, który codzienną lekturę gazet zaczynał zawsze od „Ogłoszeń drobnych" wspomniał jeszcze o skrawkach jakiegoś tajemniczego impranilu, polistyrenie pierwotnym i polietylenie wtórnym, o końcówkach do flamastrów, frytownicy, dystrybutorze do napojów, terazytach, grysach marmurowych, wężyku do breloków, godździkach, gerberach, brodaczach monachijskich, pieczarkach oraz wtryskarkach.

Wysłuchano go z wielką uwagą, dyskusję na temat czy bardziej opłacalny jest polistyren pierwotny, czy polietylen wtórny uciął sam zainteresowany.

A tymczasem nieśmiały petent, stojący cały czas w drzwiach z jakimś papierkiem w ręku, chrząknął znacząco i zrobił dwa kroki naprzód.

— Rozważania panów są bardzo ciekawe — powiedział wreszcie, ale ja już od tygodnia chcę złożyć to podanie i zawsze odchodzę z niczym.

I nic dziwnego! Przy takich możliwościach i tak oszałamiających perspektywach, przyjmowanie podań jest zajęciem zupełnie nieopłacalnym.

**) Ze zbioru humoresek pt. „Mały karierowicz", który ukazał się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego w opracowaniu graficznym Stanisława Mrowińskiego.*

KRZYSZTOF WODNICZAK

## DYSKDŻOKEJ— WSPÓŁCZESNY WODZIREJ

Nieodłączną wizytówką każdej działającej dyskoteki jest tzw. discjockey — nie wiedzieć dlaczego nazwany prezenterem (ten angielski termin można również przetłumaczyć jako „wiodący, prezentujący przy pomocy płyt), czyli innymi słowy płytowy wodzirej. Pozostańmy jednak przy obowiązującej nomenklaturze i tylko discjockeya sprowadźmy do rodzimego dyskdżokeja.

Pierwsi polscy prezenterzy wzorowali się na dyskdżokejach z radia Luxemburg: mimo iż były to imprezy do tańca, a nie audycje do słuchania. Jednak z biegiem lat publiczność, — jak i niektórzy, bardziej wymagający organizatorzy — zaczęli wyżej cenić inny typ prezenterów, których należałoby zakwalifikować — bez obawy popełnienia błędu — do współczesnych wodzirejów. Nie ograniczają się oni tylko i wyłącznie do prezentowania muzyki — tzn. ich praca nie zaczyna się i nie kończy w momencie wejścia za pulpit i zejścia. Oni, jak przystało na prawdziwych prezenterów-wodzirejów organizują również całość imprezy w celu zintegrowania środowiska i narzucenia określonych kryteriów i norm estetycznych, muzycznych i innych. Mają świadomość, że prezenter musi być bardziej niż znawcą muzyki, dobrym aktorem, dowcipnym konferansjerem, człowiekiem o błyskawicznym refleksie, musi potrafić nawiązać kontakt z publicznością.

Dotychczas w polskich dyskotekach zetknąłem się z trzema dość typowymi rodzajami prezenterów: a) bardzo serio i poważnie wykrzykujących tytuły utworów, nazwiska (lub nazwy) wykonawców, b) wprowadzających do zapowiedzi elementy zabawy, humoru, nawet pure-nonsensu, c) nijakości, braku pomysłów. Niestety typ „c" najczęściej można spotkać. Czy to świadczy o moich zawyżonych kryteriach? Nie! Starałem się obiektywnie i dość tolerancyjnie podchodzić do wszelakich prób domorosłych dyskdżokejów, często in spe jednak po godzinie obcowania w przybytku zwanym dyskoteką nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że przeżywam „moralnego kaca".

Dyskdżokej dzięki aparaturze nagłaśniającej ma również znaczny wpływ na ilość decybeli. Ma niepośrednią władzę nad ludźmi znajdującymi się na imprezie dyskotekowej — i tym samym są pod jego władzą, pod muzyką jaką preferuje.

Nie tylko profesionalne dyskoteki dysponują wzmacniaczami o mocy kilkuset watów. Moda na głośność ogarnęła również pomniejsze, te w klubach studenckich, młodzieżowych, domach kultury. Średniej klasy dyskoteki dysponują mocą 200 watów. Może nie brzmi to ostrzegawczo, lecz jeśli zważyć, że np. radio turystyczne ma moc od jednej do kilku dziesiątych wata, przeciętne radio domowe od dwóch do kilku watów, dobrej klasy radio stereofoniczne od 10 do 20 watów, to moc 200 watów musi zabrzmieć jako sygnał alarmujący. Abyśmy się nie doczekali — już nie pokolenia głuchych jak ktoś kiedyś chyba niesłusznie zauważył — „pokolenia ogłuszonych".

* ☆ *

„Dyskotekowe szaleństwo" doczekało się formalnej nobilitacji. Ministerstwo Kultury i Sztuki wydało dotychczas zaświadczenie (weryfikacje) ok. 80 prezenterom zaszeregowując ich do kategorii S, A, B i wydając tzw. prawo współpracy. Czy jednak słusznie tak postąpiono? Przecież rola prezentera w dyskotekach została sprowadzona do Anonimowego Zmieniacza Płyt, gdyż taki „typ" był — jest nadal — preferowany w ZPR-ach i podległych im ośrodkach i klubach Tip Top. Konsekwencją faworyzowania prezenterów bez pomysłów stało się uzasadnienie prawne nawet w Zarządzeniu Nr 38 Ministra Kultury i Sztuki, gdzie prezenter został zrównany w wynagrodzeniu z elektroakustykiem (100—300 zł od bloku 90-minutowego + dodatek nocny oraz za amortyzację płyt). Wszelkie dążenia niektórych ambitniejszych prezenterów, aby ich praca stała się zajęciem artystycznym i jako takie zostało uznane przez opinię społeczną (poprzez efekty ich pracy, stały rozwój umiejętności, podnoszenie poziomu itp.) niestety, dotychczas nie doczekało się realizacji.

Śmieszne zatem może wydać się oświadczenie na łamach „Kulis" byłego przewodniczącego Komisji Kwalifikacyjnej Prezenterów, Franciszka Walickiego, iż chętnie widziałby w charakterze prezenterów aktorów, muzyków, kompozytorów, piosenkarzy itp. Czyżby F. Walicki był nieświadomy, iż wymienieni mają znacznie wyższe stawki w swoich specjalnościach nieprezenterskich. Naliczyłem jak na razie zaledwie trzy przypadki piosenkarzy: Jerzy Kossela, Wojciech Gąssowski, Bogusław Mec, którzy od czasu do czasu stają — często dla przyjemności — za pulpitem dyskotecznym i wówczas są faktycznie wodzirejami. Pyszna bywa zabawa w ich towarzystwie w klubie studenckim czy młodzieżowym, natomiast w klubach rozrywki Tip Top piosenkarze — prezenterzy miewają konflikty i z pracownikami ZPR-ów i z publicznością, która przyzwyczajona do typu prezentera ze „szkoły psa Huckelberry'ego" (jak trafnie ten typ prowadzenia scharakteryzował kiedyś IBIS) nie zaakceptowała „innego" modelu wywodzącego się z tradycji karnawałowego wodzireja, tyle że w wersji współczesnej.

# POWIEKSZENIA

### POPRAWA

**„Dziennik Popularny"** informuje w trzyszpaltowym tytule: **„Realizacja planu poprawy komunikacji miejskiej".**

Niżej zaś czytamy, że **„ulegnie likwidacji linia autobusowa 78" (...) „projekty zakładają skrócenie trasy autobusu 70" i „znaczne skrócenie trasy autobusu C".**

Jednocześnie **„być może"** otrzymamy 20 tramwajów typu N-805. **„Dziennik"** informuje też o likwidacji 50 przystanków autobusowych w 30 miejscach.

### CO SIĘ OPŁACA

**„Samowola budowlana nie popłaca"** — informuje **„Express Ilustrowany".** Ale czytając notatkę dochodzimy do wniosku, że jest wręcz przeciwnie. Oto ktoś zbudował bez zezwolenia garaż. Został ukarany grzywną w wysokości 3 tys. zł. A garaż stoi. Do kosztów budowy dodaje się te głupie 3 tysiące grzywny i w sumie się opłaca.

Tytuł notatki głosiłby prawdę, gdyby wyroki w takich sprawach zalecały rozebranie bezprawnie wzniesionego obiektu.

### KTO PYTA NIE BŁĄDZI

W telewizyjnej audycji pt. **„Kto pyta nie błądzi"** zajęto się sprawą wieku gatunku ludzkiego. Audycję zapowiadano jako **„program oświatowy przedstawiający aktualny stan wiedzy na temat historii gatunku ludzkiego".**

Przed kamerami zgromadzono doborowe grono naukowców, którzy wszakże nie zdążyli przedstawić „aktualnego stanu wiedzy".

**Program trwał... pięć pinut. Od 18.10 do 18.15. Czy te p i ę ć m n u t symbolizuje „aktualny stan wiedzy?"**

### ALBUM

Aż 670 (sześćset siedemdziesiąt złotych) kosztuje album **„Szuka w sporcie"** (czy sport w sztuce?) wydany przez warszawską KAW. Najzabawniejsze są w albumie dowolne interpretacje dopisane artystom do ich dzieł. I tak niewydarzony „fachowiec" interpretuje grafikę **Ryszarda Kuby Grzybowskiego** jako walkę narodów Trzeciego Świata... A Grzybowski po prostu narysował lekkoatletów.

Widocznie redaktorzy albumu doszli do wniosku, że za tę cenę (670 zł) trzeba dać czytelnikowi trochę rozrywki.

**Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 581, W-15**